

OSSOLINEUM



ANN LADIGES  
**SPADAJ, MIĘCZAKU!**

NASZA BIBLIOTEKA

NASZA BIBLIOTEKA

Roland ma 16 lat i jest alkoholikiem. Nie radzi sobie z nauką, nie może dogadać się z ojcem. Nie ma też przyjaciół. Kradnie, oszukuje i kombinuje, by tylko zdobyć alkohol. I pije coraz więcej i więcej...

Czy chłopak opamięta się i znajdzie dość siły, by wyrwać się ze szponów nałogu? A może ocali go kielkujące uczucie do Elisabeth? Czy na pomoc nie jest już za późno?...



ISSN 1896-5989  
ISBN 978-83-04-04980-2



ANN LADIGES  
SPADAJ,  
MIĘCZAKU!

tłumaczenie Ewa Knichnicka



Wrocław • Warszawa • Kraków

Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo

Tłumaczenie niniejszego dzieła zostało wsparte przez grant Instytutu Goethego finansowanego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Tytuł oryginału:

*„Hau ab, du Flasche!”*

*Copyright © 1978 by Rowohlt Taschenbuch Verlag GmbH,*

*Reinbek bei Hamburg*

© *Copyright for the Polish translation and edition by*

*Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo we Wrocławiu Sp. z o.o.*

*Wrocław 2008*

Projekt okładki

Marcin Żuk

Opracowanie redakcyjne Barbara Kaszubowska

Opracowanie techniczne

Marcin Żuk

Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo we Wrocławiu Sp. z o.o.

pl. Solny 14a, 50-062 Wrocław

[wydawnictwo@ossolineum.pl](mailto:wydawnictwo@ossolineum.pl), [www.ossolineum.pl](http://www.ossolineum.pl)

Wydanie pierwsze

Druk i oprawa

Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo we Wrocławiu Sp. z o.o.

DRUKARNIA, ul. Kielczowska 62, 51-315 Wrocław

*Printed in Poland*

ISSN 1896-5989

ISBN 978-83-04-04980-2

Na parterze coś się dzieje. Roland waha się przez chwilę, potem jednak schodzi na dół. Pod otwartymi drzwiami do mieszkania starszej pani Marecke tłoczy się grupka sąsiadów. Rolanda zaczyna ogarniać przerażenie. Obok przeciska się doradca podatkowy z pierwszego piętra.

- Czy staruszce coś się stało?

- Znalazłam ją tutaj, w kuchni na podłodze - wyjaśnia dozorczyńni, kręcąc głową. - Piętnaście lat wytrzymała bez wódki, a teraz proszę! Na stole jeszcze stoi pusta butelka.

- No tak, a wyglądało na to, że już się uporała z nałogiem - rzuca doradca na odchodnym.

Twarz staruszki jest biała jak ściana. Na prawej skroni zarysowuje się gruba, ciemnoniebieska żyła.

„Wygląda jak robak - przychodzi na myśl Rolandowi. - Jak robak. Wczoraj jeszcze robaka nie było”. Chłopak musi cofnąć się o krok, inaczej sanitariusze z noszami nie zmieszczą się w drzwiach do klatki schodowej. Ktoś otwiera drugie skrzydło drzwi. Okrywają panią Marecke szarym wełnianym kocem. Roland czyta wyszyte na nim litery: Maltańska Służba Medyczna\*. Razem z pozostałymi sąsiadami wychodzi na dwór, za sanitariuszami. Wszyscy przypatrują się, jak ci wkładają nosze do karetki i zamykają drzwiczki pojazdu.

\* Organizacja katolicka wcielająca w życie hasło Zakonu Maltańskiego „ochrona wiary i pomoc potrzebującym”; w Niemczech jest dotowana z budżetu państwa i włączona do ogólnokrajowego systemu ochrony cywilnej.

Roland wygrzebuje z kieszeni kurtki paczkę papierosów. Jest pusta. Drży mu ręka. Znów sięga do kieszeni i opuszkami palców wyczuwa resztki tytoniu.

Dojście do przystanku autobusowego zabiera mu dziesięć minut. Czeka na linię II ER. Na ławce, obok automatu z biletami, siedzą dwie Turczynki. Głowy mają owinięte chustami, a spod spódnic wystają im spodnie.

Autobus przyjeżdża zatłoczony. Roland widzi przed sobą w otwartych drzwiach ściśniętych jak sardynki ludzi. Przepuszcza Turczynki, które próbują wcisnąć się do środka pojazdu. Chłopak czuje na sobie wzrok jakiegoś mężczyzny i cofa się. Drzwi zamykają się, autobus odjeżdża. Roland kalkuluje w myślach: „Jeśli się pospieszę, zdążę dojść na piechotę. Jest dopiero dwadzieścia po ósmej. Sporo czasu, a spacer dobrze mi zrobi”.

Tego ranka, przy śniadaniu, matka znów go napominała:

- Tylko bądź punktualny, zrób mi tę przyjemność! Jak to będzie wyglądać, kiedy się spóźnisz na rozmowę w sprawie pracy?!

Kategorycznie zażądała, by zamiast dżinsów założył ciemnoniebieskie spodnie ze sztruksu. Przed wyjściem jeszcze raz zmierzyła go wzrokiem, oceniając, czy prezentuje się odpowiednio jak na interview w atelier fotograficznym „Foto-Droste”.

- Rolandzie, chyba zdajesz sobie sprawę, co to dla ciebie znaczy!

Oczywiście, że wiedział. Przecież sam ciągle powtarzał:

- Kiedy tylko dostanę się na staż, uda mi się. Obiecuję.

Może pan Droste przyjmie go. Ale najpierw pewnie go „obwącha”, jak się wyraził ojciec Rolanda. Zna pana Droste z treningów piłki ręcznej - mają zajęcia w każdą środę od ósmej do dziesiątej wieczorem. A po zajęciach na sali idą zwykle razem na piwko. Ojciec nie mówił jednak panu Droste, jakie kłopoty ma Roland. Uważa bowiem, że nie trzeba się od razu każdemu ze wszystkiego zwierzać.

- Proszę, chociaż tym razem nas nie zawieź. Drugiej szansy nie dostaniemy.

Rolandowi jedzenie podchodzi do gardła, musi zwymiotować. Stoi jeszcze na przystanku. „Że też dzisiaj akurat muszę iść na tę rozmowę... Przyszły tydzień bardziej by mi pasował”, myśli.

Trzęsie się z zimna, próbuje zapiąć kurtkę. Jednak palce drżą mu coraz bardziej i nie może złapać razem końcówek zamka błyskawicznego. „Lepiej, żebym tam dziś nie szedł. Przecież rodzice chcą, abym zrobił dobre wrażenie. Zadzwonię do faceta i powiem mu, że był wypadek. Dokładnie tak powiem! Ciężarówka stanęła nagle w poprzek i kierowca autobusu nie zdążył wyhamować. A ja? Nie, ze mną wszystko w porządku. Tylko ręka... Tak, już ją opatrzone. W szpitalu św. Marka. W takim razie przyjadę dopiero jutro. Oczywiście, pasuje. Będę u pana punktualnie o dziewiątej”.

Roland idzie w kierunku Grüneburgweg. Jeśli dobrze pamięta, to na rogu Liebigstrasse stoi wieżowiec w stanie surowym. Deweloper nie uzyskał zgody na budowę dwóch najwyższych pięter, władze miasta nie zezwoliły na taką wysokość obiektu. Za każdym razem, kiedy Roland z rodzicami przejeżdża obok budowy, jego ojciec nie może pohamować złości.

- Najpierw stawiają coś takiego, a później pozwalają, żeby niszczało - rzucił kiedyś.

- Nie za nasze pieniądze - odpowiedziała matka.

- Tak ci się tylko wydaje! A nasze podatki to na co idą?!

„A nie lepiej zrezygnować z obu najniższych pięter?” przyszło wtedy na myśl chłopakowi. Wyobraził sobie, jak trudno teraz byłoby wyciągnąć coś spod betonowego kłoca.

Roland przesuwa na bok tyczkę ogrodzenia i przeciska się przez powstałą szczelinę. Wspina się po deskach i zardzewiałych rurach. Pierwsze stopnie pokonuje z łatwością, bez zatrzymywania. Na półpiętrze robi mu się słabo, opiera się na chwilę o ścianę. Na pierwszym piętrze bezdomni urządzili sobie przed kilkoma tygodniami noclegownię, dlatego Roland musiał przenieść swoje rzeczy wyżej. Bał się, że mogliby go okraść. Tuż przed trzecią kondygnacją chłopak potyka się i zsuwa o pół schodka. Szorstkie grudki podłóża odciskają mu się na dłoniach. Lewa ręka krwawi. Ale Roland nie czuje bólu. „Muszą tam być jeszcze przynajmniej trzy pełne flaszki!” Pokonuje właśnie ostatnie dwa stopnie.

Na górze hula przeciąg, ściany są nieotynkowane, wystają z

nich przewody. W rogu leżą puszkę po piwie i zakurzone makiety, stare gazety i liście, które przywiał wiatr przez otwory na okna. Przedpokój skręca, za nim znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie. W kącie piętrzy się góra wełnianych koców. Roland klęka na podłodze i odrzuca je. Pod spodem, w tekturowym kartonie, znajduje dwie pełne butelki whisky i jedną, do połowy opróżnioną, butelkę wódki.

Pospiesznie upija pierwszy łyk i od razu się uspokaja. Czuje swój miarowy oddech. Wstaje i podchodzi do okna.

Żółta ciężarówka skręca z Grünenburgweg w Liebigstrasse. Dwa inne samochody pędzą na wprost. Za nimi nadjeżdża autobus, a z przeciwnej strony rowerzysta, zatrzymuje się na rogu, przepuszcza ciężarówkę, po czym rusza. Jakaś kobieta przystaje przed sklepem z antykami i ogląda wystawę. Roland dostrzega kolejną ciężarówkę. I wtedy kobieta znika mu z oczu. Nie mogła wejść do sklepu, bo na drzwiach zaciągnięte są kraty. Z budynku naprzeciwko wychodzi dwóch mężczyzn. Spoglądają w górę na niedokończony wieżowiec. Przechodzą pospiesznie przez ulicę, kierując się dokładnie w stronę placu budowy.

Roland cofa się nieco od otworu okiennego.

„Czego oni chcą ode mnie? Nie mam z tym nic wspólnego! Ze starą Marecke to był pomysł Buddiego! Zresztą, stara sama chciała! Przecież musiała wiedzieć, że nie da rady...”

Nagle przypomina sobie o przesyłce. Wydruk z tekstem Thiego.

„A byłem pewien, że coś takiego nigdy więcej mi się nie przydarzy”.

Roland chodził już od pół roku do szkoły, kiedy jego rodzice postanowili urządzić w domu duże przyjęcie.

Mama nie kryła zdenerwowania. Brakowało szklanek, majonez na sałatkę okazał się za rzadki, a na bitą śmietaną zabrakło miejsca w lodówce, która cała wypełniona była butelkami szampana. Ojciec wyszedł jeszcze do sklepu dokupić piwa. Zanim wrócił,



minęła cała wieczność. W domu od razu wypił szybko jedno piwo. Głos matki przeszedł w ostry pisk: „Przecież ma tylko dwie ręce, a poza tym jeszcze nie ustalili, kto gdzie usiądzie”. A Roland wciąż wyczekująco sterczał przed matką. W końcu wcisnęła mu do ręki dużą paczkę chipsów.

- Masz, ale nie zjedz wszystkiego. I przebierz się wreszcie!

Kiedy przybyli pierwsi goście, Roland, ubrany w piżamę, stał na korytarzu. Jedna pani przyniosła mu tabliczkę czekolady. Zaśmiała się dość głośno i spytała go, ile ma lat. Roland spojrzął na nią. Na szyi miała wisiołek z dużym białym kłębem. Chłopczyk zastanawiał się, czy to kiel rekina czy tygrysa.

- Nie potrafisz odpowiedzieć? - upomniała synka matka. - Wkrótce skończy siedem lat - zwróciła się do kobiety. - No, podziękuj pani ładnie.

Roland powiedział „dziękuję” i wziął czekoladę.

Później słyszał, jak wszyscy rozmawiają w pokoju. Głos taty rozpoznawał z łatwością. Od czasu do czasu ktoś przechodził przez przedpokój do łazienki. Puszczono muzykę. Raz zatrzęsała się trochę podłoga. „Teraz tańczą”, pomyślał Roland. Wygrzebał się spod kołdry i przyniósł sobie czekoladę oraz napoczętą paczkę chipsów. Mama zabrała mu i jedno, i drugie, gdy położyła go do łóżka.

- Żadnego podjadania po umyciu zębów. No, ale o tym powinienś już sam pamiętać. Jasne? A teraz do spania, migiem.

Czekolada właściwie w ogóle mu nie smakowała. Nie to, co barylki z likierem u babci Geiger. Mimo to wsunął do buzi ostatnią kostkę. Opróżnił też paczkę chipsów. *Strangers in the Night*. Znał ten kawałek, matka zawsze go nuciła. To była jej ulubiona piosenka. *Strangers in the Night* Sinatry...

Kiedy Roland się obudził, w mieszkaniu panowała cisza. Okropnie chciało mu się pić. Zapalił nocną lampkę i wstał z łóżka. Na korytarzu paliło się światło. Najwidoczniej rodzice zapomnieli je zgasić. Drzwi do dużego pokoju były otwarte na oścież, dochodziła z niego woń papierosów. Dywan był zwinięty, a krzesła

poustawiane w kątach. Na podłodze, przed wieżą leżały porozrzu-  
cane kompakty - niektóre były wyciągnięte z opakowań, czego  
ojciec nie znośił. Na stole stały kieliszki, część z nich napełniona  
jeszcze do połowy. Pod stołem leżała pusta butelka. „Pili szampa-  
na”, pomyślał Roland. Wiedział, jak smakuje. Troszeczkę jak le-  
moniada, tylko mniej słodki. Mama pozwalała mu od czasu do  
czasu skosztować szampana. Często rano popijała.

- To daje mi energię na cały dzień - mawiała.

Jeden z kieliszków był prawie pełny. Roland pociągnął mały  
łyk. Poczł szampana - ciepłego i słodkiego. Chłopczyk usadowił  
się na kanapie i wypił do dna cały kieliszek.

Zakręciło mu się trochę w głowie. Nawet przyjemne uczucie.  
Dopił więc resztki z pozostałych kieliszków. W jednym z nich  
znajdował się inny, mocniejszy trunk, który palił mu przętyk.  
Roland wypluł alkohol, parszając przy tym niczym mała foczka,  
którą widział w zoo. Właściwie to był teraz foczką w basenie. Wy-  
pływał na powierzchnię wody, żeby zaraz znów się zanurzyć. Kie-  
dy był na zewnątrz, parskął. Jego ślina rozbryzgiwała się na  
wszystkie strony, a on śmiał się. Potem odkrył jeszcze jedną, pra-  
wie pełną butelkę - tym razem wina.

Kiedy Roland wstał z kanapy, pokój zawirował. Chłopiec prze-  
wrócił się na stół, strącił kilka kieliszków i butelek, po czym wyląd-  
ował na podłodze.

- Co ty tu robisz? - usłyszał głos taty. - Zwariowałeś? W środ-  
ku nocy?

Ojciec miał rozwichrzone włosy.

Roland poczuł, jak wzbiera w nim śmiech. Potem zwymiotował  
na podłogę.

Następnego dnia Roland był chory. Mama położyła mu na czo-  
ło zimny okład, a ojciec powiedział szyderczo:

- Masz szczęście, że mama nie rozwinęła wczoraj z powrotem  
dywanu. Mielibyśmy na nim niezłą bryję!

- Karl-Heinz, proszę, daj już spokój!

Matka pogłaskała Rolanda i porządnie go przykryła.

- Powinniśmy byli jeszcze wczoraj wynieść kieliszki. Chciałam to zrobić, ale ty...

- No, pięknie! To co?! Może ja jestem winien, że nasz synalek w środku nocy spija kieliszki po gościach?! - grzmiał tato.

- A w ogóle ta cała głupia impreza... Naprawdę nie wiem, po co musieliśmy spraszać tyle osób!

- No to ci powiem dlaczego! Bo to są moi koledzy z pracy!

- Tak, dokładnie... Ładnych masz kolegów.

Głosy huczały w głowie Rolanda.

Ojciec, jako przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego Hessischen Leben, jeździł często w delegacje, odwiedzając klientów. Dwa razy w miesiącu spotykał się wieczorami z kolegami z innych oddziałów.

- Muszę wiedzieć, co w trawie piszczy - tak brzmiała jego dewiza.

Z tych spotkań wracał późno w nocy, robiąc taki hałas, że budził Rolanda. Nazajutrz matka miewała najczęściej zły humor i za każdym razem zaczynała narzekać, zwracając się do synka:

- Twój ojciec znów zabalował!

- Nie wierz we wszystko, co ci mówi matka - odpowiadał wtedy tato i wyjmował sobie z lodówki butelkę piwa. - Na kaca najlepszy jest klin. Stara prawda.

Matka często złorzeczyła na kolegów ojca. Uważała, że potrafią tylko pić i rozmawiać o piłce. Znała większość z nich, bo niegdyś także pracowała w Hessischen Leben. Wtedy nazywała się jeszcze Renate Menziger i była sekretarką dyrektora. Na jednej z imprez firmowych poznała młodszego od siebie o pięć lat Karla-Heinza Geigera, który ochoczo zaczął ją podrywać i wkrótce zdobył jej serce. Matka ostrzegала jednak Renate:

- Dziecko, lepiej, gdy mąż jest starszy od swojej żony.

Wbrew tym radom młodzi po trzech miesiącach pobrali się.

Karl-Heinz rozwiął wszelkie obawy Renate: była przecież atrakcyjną kobietą i nikt by nie pomyślał, że ma już trzydziestkę. A na dodatek była dokładnie w typie Karla-Heinza.

Rok później, pewnego środowego wieczoru, trzy tygodnie po wyznaczonym terminie, na świat przyszło ich dziecko. Renate dwukrotnie przyjeżdżała do szpitala i za każdym razem odsyłała ją z powrotem do domu. Skurcze były jeszcze za słabe. Potem sztucznie je wywołało. To był ciężki poród, ale Renate niewiele z niego zapamiętała, bo podano jej narkozę. Kiedy następnego dnia pozwolono jej przez pół godziny potrzymać dziecko przy sobie, przepelniała ją szczęście.

Uzgodniła z mężem, że dadzą synowi na imię Roland.

Karl-Heinz pojawił się w szpitalu z silnym bólem głowy, dwudziestoma pięcioma czerwonymi różami i pierścieniem z brylantem.

- Karat, białe złoto. Z całą pewnością jest wart przynajmniej dwukrotnie więcej. Kupiłem go po okazyjnej cenie.

Pierścionek okazał się trochę za duży, ale to nie miało żadnego znaczenia. Bóle głowy były wynikiem imprezy z poprzedniego wieczoru. Karl-Heinz całą noc świętował z dwoma kolegami narodziny syna. Chłopak! To był rzeczywiście powód do dumy.

Świeżo upieczony ojciec dostał od pielęgniarki tabletkę przeciwbólową i wkrótce opuścił szpital. W biurze postawił pięć butelek szampana. Tym razem dobrej drogiej marki.

Roland jako dziecko często się przeziębiał. Nawet latem bywało, że ciekło mu z nosa.

- To dlatego, że go za ciepło ubierasz - przekonywał matkę ojciec. - Nie pozwalasz mu się zahartować.

- Roland jest słabowity - odpowiadała Renate, zakładając dziecku czapkę.

Gdy była ładna pogoda, zabierała syna na plac zabaw. Siedziała z innymi matkami na ławce i robiła na drutach, obserwując przy tym, jak Roland bawi się w piaskownicy. Kiedy tylko jakieś dziecko zabrało mu wiaderko lub łopatkę, od razu podbiegała

do synka, pocieszała go i przynosiła z powrotem jego zabawki.

Kiedy Roland skończył cztery lata, Renate i Karl-Heinz rozważali możliwość posłania go do przedszkola. Nie znaleźli jednak żadnego odpowiedniego miejsca, a państwowe przedszkole w ich dzielnicy nie wchodziło nawet w grę. O warunkach, jakie panują w takich molochach, naczytali się już wystarczająco w gazetach. Dzieci nie miały żadnego nadzoru, mogły robić, co im się podoba. Wkrótce potem Roland zachorował na ospę wietrzną i problem przedszkola sam się rozwiązał.

W bloku mieszkała już wtedy na dole pani Marecke.

- Przecież ona nie jest jeszcze taka stara. Ma najwyżej sześćdziesiątkę, a wygląda na osiemdziesiąt lat - mawiał tato. - Musiała wcześniej wlewać w siebie jak w studnię, a potem upadła na korytarzu. Nie rozumiem, dlaczego jej stąd jeszcze nie wyrzucono. No tak, ale kto wie, co za tym stoi? Może za płaciła, komu trzeba.

Zasami, kiedy Roland schodził z mamą po schodach, starsza pani uchylała drzwi od swego mieszkania i odzywała się przyjaźnie sponad łańcucha:

- Dzień dobry...

Jednak matka nie odpowiadała na pozdrowienie, tylko szybko ciągnęła Rolanda za rękę. Takie zachowanie matki wydawało się chłopcu bardzo dziwne.

Kiedyś listonosz niecierpliwie dzwonił do drzwi pani Marecke. Ale ona nie otwierała.

- Tę starą czarownicę powinno się posłać na stos! Przecież jest w domu. Przychodzę tutaj z poleconym już trzeci raz!

Wypisał awizo, wrzucił do skrzynki na listy i odszedł.

Roland zaś zapytał matkę:

- Czy pani Marecke naprawdę jest czarownicą?

- Nie, oczywiście, że nie, Rolandzie. Czarownice nie istnieją.

Roland wcale nie był tego taki pewien.

Kiedy Roland podrośł, ojciec zaczął posyłać go od czasu do czasu do kiosku za rogiem po papierosy albo gazetę. Wtedy chłopiec szybko przemykał koło mieszkania pani Marecke. Pewnego dnia, dostrzegłszy z ulicy jej twarz ukrytą za brudnymi szarymi firankami, przystanął. Kobieta odsunęła nieco firankę i przez moment obydwójce przyglądali się sobie.

Gdy Roland wszedł do klatki schodowej, pani Marecke stanęła w drzwiach swojego mieszkania. Podparta na lasce, pokiwała na dziecko palcem.

- Podejź no tutaj, mój chłopcze...

Malec wpatrywał się w nią przez chwilę, stojąc jak skamieniały, po czym rzucił się do ucieczki schodami do góry.

Roland uwielbiał bajki. A najbardziej lubił te straszne, w których występowały czarownice albo olbrzymy posiadające czarodziejską moc. Potem wtulał się mocno w mamę i wyobrażał sobie, że jest kosmatym trollem. Raz opowiedział jej o tym.

- Nasze dziecko ma bujną wyobraźnię - powiedziała potem przy kolacji.

- Wolałbym, żeby w końcu nauczył się pływać - odparł tato. - Kiedy pójdzie do szkoły, powinien już mieć kartę pływacką.

Właściwie to Roland potrafił już pływać. Nauczył się na basenie miejskim. Jednak pod koniec kursu zachorował na odrę. Od tej pory podczas pływania woda wlewała mu się do nosa.

- Źle oddycha - uważał ojciec i pokazał mu, jak powinien prawidłowo oddychać podczas zanurzania.

Jednak Rolandowi woda nadal wpływała do nosa. Dlatego wołał siedzieć w brodziku.

W niedziele Karl-Heinz często zabierał syna na nowo otwartą pływalnię. Ojciec był dobrym pływakiem, przez lata grał w piłkę wodną. Kiedy płynął kraulem, trudno było mu dorównać. Któregoś dnia spotkali tam pana Holzkampa z córką Biggi. Była rówieśnicą Rolanda i jesienią także szła do pierwszej klasy. Dziewczynka otrzymała już kartę pływacką. Tego dnia po raz pierwszy miała

skoczyć do basenu z trzeciego poziomu skoczni. Z pierwszego skakała już od dawna.

Biggi nie była do końca przekonana, czy może już ufać swoim umiejętnościom i zdobyć się na skok. Jednak pan Holzkamp i ojciec Rolanda namówili ją do tego.

- To nic strasznego. No już, naprzód! Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa!

Biggi wspięła się na skocznię. Pozostali przypatrywali się jej z dołu. Weszła na trampolinę i przystanąła na chwilę. Pan Holzkamp krzyknął:

- Teraz! Skacz!

Biggi zatkała palcami nos i skoczyła. Kiedy wypłynęła na powierzchnię, obaj mężczyźni zaczęli klaskać z uznaniem. Wtedy Karl-Heinz chwycił nagle syna.

- Teraz twoja kolej!

Roland zaczął krzyżeć. Upadł na posadzkę. Ojciec znowu podniósł go wysoko z zamiarem rzucenia do wody.

- No, nie wygłupiaj mi się tutaj!

Roland krzychał coraz głośniej. W końcu jakaś kobieta wtrąciła się:

- Niech pan zostawi tego chłopca! Przecież widzi pan, że się boi! To nie do pomyslenia!

Na te słowa ojciec puścił Rolanda, a ten natychmiast uciekł.

Później mężczyznom udało się znaleźć stolik w zatłoczonej po brzegi restauracji przy pływalni. Obaj zamówili po jednym jasnym piwie. Biggi przyniosła sobie z budki lody na patyku.

Roland przyglądał się wszystkiemu uważnie, stojąc w pewnej odległości, przy kabinach przebieralni. Wcześniej popłakał sobie w samotności.

Teraz podchodził nieśmiało do stolika, coraz bliżej i bliżej. Ojciec nie zwracał na niego w ogóle uwagi. Roland w milczeniu postał chwilę przy tacie. Potem odezwał się cichutko:

- Tatusiu...

- Tak?

- Mogę też kupić sobie lody?
- Spadaj, mięczaku!

Ojciec nawet nie spojrzął na Rolanda. Spokojnie wrócił do rozmowy z panem Holzkampem.

Kiedy Roland był już w drugiej klasie, któregoś ranka rozboleł go nagle brzuch. Mama stwierdziła, że syn jest blady. Chciała koniecznie zmierzyć mu temperaturę. Termometr wskazywał stan podgorączkowy. W każdym razie Renate orzekła, że najlepiej będzie, jak Roland zostanie w łóżku. Dostał tylko herbatę i sucharek, za to mama czytała mu na głos piąty rozdział *Robinsona Crusoe*. W południe dolegliwości minęły i chłopak dokazywał jak zwykle.

Następnego ranka ponownie rozboleł go brzuch.

- Chcesz sobie znowu zafundować dzień wolnego? – spytał ojciec.

Matka wezwała pediatrę. Przyszedł po południu, kazał Rolandowi pokazać język, uciskał mu brzuch w kilku miejscach.

- Boli? - pytał przy tym.
- Tak... trochę...

Lekarz na wszelki wypadek osłuchał jeszcze płuca chłopca.

- Teraz nie oddychaj, tak... A teraz wypuść powietrze.

Potem dał Rolandowi lekkiego klapsa i powiedział żartobliwie:

- To dopiero byłby wstyd, gdybyśmy nie zaradzili bólowi brzucha.

Zapisał środek na ogólne wzmocnienie organizmu i zapytał, gdzie może umyć ręce. Na odchodnym zwrócił się do Renate:

- Pani Geiger, proszę popytać w szkole o syna. Może ma jakieś problemy? Od strony medycznej nie ma powodu do niepokoju. Ale gdyby coś się działo, proszę dzwonić.

- Roland musi wyrobić sobie pozycję w grupie - orzekła nauczycielka.

- A przywał czasami! - poradził w domu ojciec.



Tego lata kupił duży samochód i na wakacje pojechali całą rodziną do Chorwacji. Mieli szczęście i do hotelu, w którym się zatrzymali, i do pięknej pogody. Tato sprezentował Rolandowi wędkę i nożyk do ryb.

Czasami wypożyczali na cały dzień motorówkę. Zabierali wędki, stroje kąpielowe, prowiant i wypływali w morze, na jedną z wielu rozsianych małych wysepek. Roland mógł nawet posterować trochę łódką. Nurkowanie sprawiało mu ogromną frajdę. Mało tego! Odważył się nawet skoczyć ze skałek do wody. Pozwalał się unosić falom i udawał topielca.

Mama opalała się, on zaś wędkował razem z tatą. Za przynętę służyły małże. Kiedy nałapali wystarczająco dużo ryb, rozpalali ognisko, nadziewali ryby na kije i piekli. Wprawdzie Renate uważała, że nie nadają się one do jedzenia, ale ani razu im nie zaszkodziły. Roland pamiętał jeszcze, jak to było, kiedy pierwsza ryba złapała się na jego wędkę. Rozpierała go taka duma!

Mama była w czasie tych wakacji bardzo wesoła. Brzydziła się tylko mątw, które ojciec przynosił z morza. Tato kupił jej w Dubrowniku długą sukienkę w folkowym stylu. Mama zakładała ją za każdym razem, kiedy wieczorami wychodziła z ojcem potańczyć.

To były najpiękniejsze dni w życiu Rolanda.

Po wakacjach szło mu całkiem nieźle w szkole. Zwracał na siebie uwagę jedynie tym, że podczas lekcji często się wygłupiał, co oczywiście wywoływało w klasie salwy śmiechu. Gdyby nie to, nauczyciele nie mieliby do niego żadnych zastrzeżeń.

Dolne zęby Rolanda były wykrzywione troszkę do tyłu.

- Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie ssał kciuka! Widzisz, jakie masz teraz zęby! - powiedział mu raz ojciec.

Dentysta orzekł, że przyczyną krzywych zębów jest wadliwy zgryz i kazał Rolandowi ugryźć gips i wosk, żeby mógł zrobić odlew uzębienia.

Potem dopasował do niego aparat na zęby, który Roland miał zakładać popołudniami i na noc. Ciężko mu było rozmawiać z tym aparatem.

- Nic nie szkodzi - pocieszała go matka. - Przecież w nocy i tak śpisz.

Roland właściwie nie miał prawdziwego przyjaciela. Chłopak spędzał wolny czas, sklejjąc modele i rysując. Matka wieszała na ścianie wszystkie jego obrazki. Ćwiczyła z nim pisanie i rachunki oraz czytała mu edukacyjne książki dla dzieci. Od czasu do czasu podejmowała temat swojego powrotu na pół etatu do Hessischen Leben. Jednak kiedy Roland poszedł do gimnazjum, porzuciła tę myśl. Nie było takiej potrzeby, by wracała do pracy, ponieważ ojciec Rolanda zarabiał coraz więcej. Jego prowizje wzrosły.

Pewnego razu Karl-Heinz przyniósł do domu nową grę „Mastermind”. Był zachwycony.

- Nauczysz cię logicznego myślenia - wyjaśnił.

Jednak tak do końca nigdy nie rozgryźli tej gry.

Gdy Roland był w siódmej klasie, dołączył do nich nowy uczeń - Buddi. Chłopak miał czternaście lat i był o rok starszy od Rolanda. Wystarczyło zaledwie kilka dni, by dał wszystkim do zrozumienia, kto tutaj rządzi. Klasa podzieliła się na paczkę Buddiego i na tych, którzy - tak jak Roland - chętnie by do niej przystąpili. Poza tym było kilku uczniów, których Buddi zupełnie nie interesował. Jednakże oni byli odludkami i ich zdanie się nie liczyło.

Gdy podczas WF-u zostało się wybranym do drużyny piłkarskiej Buddiego, było to wielkie wyróżnienie. W końcu to właśnie jego zespół wygrywał mecz za meczem. Raz Buddi prawie wybrał Rolanda na bramkarza, ale Martin Hanschke szybko szepnął mu:

- Nie, nie tego!

I Buddi wywołał Torstena, chociaż każdy wiedział, że Torsten nie potrafi złapać żadnej piłki.

Roland zaprosił Buddiego na swoje urodziny, ale ten, niestety, nie mógł przyjść, bo tego samego dnia urodzinowe party urządził Uwe Nicolai.

Roland wciąż musiał nosić na zębach aparat korygujący. Na regulowanie go co dwa tygodnie jeździł metrem do dentysty. W drodze powrotnej wysiadał na głównym przystanku i schodził na platformę „B”. Na tym podziemnym placu, do którego sięgały podziemia domów towarowych, rozpościerał się świat hitów cenowych, ofert specjalnych, resztek asortymentu. Tutaj było wszystko. Plakaty, książki, kwiaty, płyty, gazety, papierosy, chleb, warzywa, mięso, podróże do ciepłych krajów, pieczone kielbaski, lody włoskie. Wszędzie komunikaty, wskazówki, zakazy. Nigdy bez biletu! Miasto ciągle na linii telefonicznej. Strach przed przyszłością? Konta osobiste - tylko siedemdziesiąt kroków stąd. Rolling Stones, *Jezioro łabędzie*, *Kozacy dońscy*. Osiemdziesięciu współwykonawców. Wejście, wyjście, przejście.

„Wejście, zejście”, pomyślał Roland.

Tamtego dnia, przystanąwszy, zaczął przysłuchiwać się pio-sence o Jezusie, którą śpiewała grupka kobiet i mężczyzn. „Radość poprzez posłuszeństwo” - miał wypisane na gitarze drukowanymi literami jeden z mężczyzn. Przy wejściu do hali targowej stała dziewczyna z fletem. Roland dałby jej chętnie parę drobniaków, ale nic nie miał. Przyglądał się przez chwilę, jak pewien artysta maluje graffiti na ścianie. Powstało coś, co według Rolanda przedstawiało Monę Lisę lub Cyganke, a może Matkę Boską. Jakiś mężczyzna rzępolił na pile. Przy ruchomych schodach spał że-brak.

„Produkcje sztucznych głów” - taki napis widniał na plakacie wywieszonym w witrynie programu 2 heskiego radia.

Roland wyobraził sobie taką sztuczną głowę ze szkła. Oczyma wyobraźni widział za mózgiem kręcące się trybiki, małe drążki będące raz u góry, raz na dole, zapalające się czerwone i zielone lampki, przeskakujące iskry. Ilekroć kończyła się jakaś myśl, roz-legał się dźwięk dzwonka.

Po ziemi wałały się różnokolorowe strzępy papieru: gazety, stare bilety, ulotki, reklamy. „Jak konfetti”, pomyślał Roland, przechodząc środkiem.

Któregoś popołudnia, tuż po świętach wielkanocnych, Roland spotkał w parku Buddiego. W rowerze kolegi spadł łańcuch. Roland wyjął szybko z ust aparat korygujący i schował do kieszeni spodni. Zatrzymał się przy Buddim i zagadnął:

- No...
- Jasna cholera!

Roland przez chwilę przyglądał się, jak Buddi męczy się, próbując założyć łańcuch. Potem wyjął z kieszeni kurtki małą butelkę ajerkoniaku, którą zabrał babci Geiger.

- Chcesz łyka? - zaproponował.
- A co to jest?
- Ajerkoniak.
- Nie piję tego, ale dawaj.

Buddi opróżnił niemal całą zawartość butelki. Rolandowi zostało kilka kropli.

- Dobrze, nie?

- No, nawet nieźle. Ale wolę whisky. Ajerkoniak jest dla smarkaczy.

- Ja też piję whisky. Najczęściej whisky - odparł Roland, choć nigdy wcześniej jej nie próbował.

- Skąd bierzesz? Masz jakieś źródło? - zainteresował się Buddi.

- Mam - przytaknął.

- No to skombinuj coś i wpadnij do mnie. Mieszkam na Beethovenstrasse.

- Wiem. To kiedy mam przyjść?
- No, jak coś będziesz miał.
- Jutro?
- OK. Tylko przynieś coś!
- Jasne.
- To narka!
- Narka!

Buddi wsiadł na rower i zazgrzytał przerzutką.

Roland od razu wrócił do domu. Miał już gotowy plan.

Matka siedziała w pokoju i po raz drugi pruła przednią część swetra. W telewizji leciał jakiś stary film sprzed pół wieku. Roland usiadł na kanapie. Film się już kończył. Kiedy zaczęły się wiadomości, chłopak miał nadzieję, że matka pójdzie do kuchni, ona jednak nigdzie się nie ruszyła.

- Nie masz żadnych lekcji do odrobienia? - zapytała.
- Nie - odparł Roland.
- Jak to? Coś musieli wam przecież zadać!
- Nic. Pani Wolf wciąż jest na zwolnieniu lekarskim.
- Ach, tak.

Matka nabrała oczka na drut i cicho przeliczyła. Potem zdjęła je z drutu.

Roland wziął poduszkę z sofy i zaczął ją formować w kulę.

- Nie gnieć poduszki - zwróciła mu uwagę mama.

Nabrała nowych oczek i głośno przeliczyła do dziewięćdziesięciu. Zaczęła dziergać.

Roland wiercił się na kanapie.

- Usiądź spokojnie! - zgałła syna Renate, nie patrząc na niego.

Przyłożyła do tylnej części swetra dwa gotowe rzędkie, żeby sprawdzić, czy pasują.

W telewizji zaczął się serial. Oglądali go oboje, a mama nie przestawała robić na drutach. Kiedy film się skończył, wyszła do kuchni, choć zaczynał się jej ulubiony program.

- Muszę zrobić kolację. Tato zaraz przyjdzie - rzuciła do Rolanda.

Chłopak odczekał chwilkę. Potem zakradł się do szafki i ostrożnie otworzył barek. W drugim rzędku stała pełna butelka whisky. Roland wyjął ją starając się nie potrącić pozostałych butelek. Po cichutku zamknął drzwiczki.

- Po co ci ta butelka? - Matka stała w drzwiach pokoju.

Roland poczuł, jak do twarzy napływa mu fala gorąca, a serce mocno wali.

- Potrzebuję jej... Potrzebuję jej do szkoły... Kazali nam przynieść butelkę. Mamy robić świecznik.

- To po co pełną bierzesz?! Coś zmyślasz!
- Matka zabrała mu butelkę i wstawiła z powrotem do barku.
- Musisz skoczyć jeszcze do Tevesa. Skończyła się woda. I kup też dwa piwa.

Roland wziął torbę z pustymi butelkami i wyszedł z domu. Na dworze siąpił deszcz. Zauważył, że firanka w oknie starej pani Marecke się poruszyła. Potem przebiegł między dwoma samochodami przez ulicę.

W sklepiku „Teves - delikatesy i alkohole” było tłoczno, jak każdego wieczoru. W kolejce stało co najmniej dziesięć osób. Wszystkie osiedlowe markety były punktualnie zamykane, tylko tutaj można było jeszcze coś kupić po wpół do siódmej. Właściciele nie spieszyli się z zamykaniem sklepu, oboje byli już po siedemdziesiątce. Pani Teves miała słaby wzrok, mimo okularów z trudem odczytywała należność z kasy. Pan Teves odpowiadał za alkohole. Często musiał schodzić po towar do piwnicy, bo w niewielkim sklepie brakowało miejsca na składowanie wszystkich rodzajów win i innych trunków, które sprzedawał. Czasami trwało chwilę, zanim wrócił.

Roland musiał trochę poczekać. Zatrzymał się obok regału z napojami. Na dole poustawiane były butelki z wodą mineralną. Obok nich piwo, cola, lemoniady, na wyższej półce zaś białe wina. Bezpośrednio na wysokości oczu Rolanda stały małe likiery, cztery, jeden za drugim. Obok butelki whisky, winiak, żołądkówka. Całkiem z prawej strony dojrzał półlitrowki wódki, whisky, koniaku i ginu.

Poza Rolandem w sklepie było jeszcze dwóch klientów: kobieta, która właśnie zapłaciła i usiłowała teraz upchnąć woreczki z zakupami do jednej dużej torby, i mężczyzna, proszący o dobre gatunkowo czerwone wino. Pan Teves musiał więc zejść po nie do piwnicy. Jego żona w tym czasie rozdzielala pieniądze do przegródek w kasie, rozmawiając równocześnie z mężczyzną, który czekał na swój trunek. Kobieta z dużą torbą wyszła ze sklepu. Roland nachylił się w stronę regału, chwycił z półki półlitrowkę

whisky i ukrył ją w głębokiej kieszeni kurtki. Serce waliło mu jak młotem.

Nikt jednak niczego nie zauważył. Wszystko było tak, jak gdyby nic się nie stało. Pani Teves nadal rozmawiała z klientem, pan Teves wrócił z piwnicy. Mężczyzna zapłacił za butelkę wina i wyszedł. Roland postawił swoją torbę na ladzie.

- Dwie butelki wody i dwa piwa - powiedział do starszej pani.

- A, Roland! W ogóle cię nie zauważyłam. Weź sobie z regału - tam, na dole.

Roland wziął wodę i piwo, a następnie zapłacił za nie. Pan Teves dał mu na odchodnym gumę do żucia.

Przy kolacji Roland był w wyśmienitym humorze. Tato zapytał go, czy odrobił zadania domowe, po czym włączył telewizor.

- Znowu jakieś afery z ubezpieczeniem zdrowotnym. Muszę obejrzeć wiadomości - wyjaśnił.

Cała rodzina jadła wspólnie kolację, oglądając telewizję.

Po posiłku Roland pomógł matce w zmywaniu naczyń. Potem posiedział jeszcze chwilę, jednak w telewizji nie było nic ciekawego. Poza tym ojciec Rolanda chciał chwili spokoju, bo następnego dnia miał ważne spotkanie z klientem i musiał się przygotować. Matka robiła na drutach sweter. Roland wcześniej powiedział „dobranoc” i poszedł do siebie. Wyciągnął whisky spod materaca i obejrzał etykietkę. Kiedy weszła matka, Roland szybko ukrył alkohol pod kołdrą i udał, że czyta *Asteriksa*. Okazało się, że przyniosła mu pustą butelkę po rumie.

- Masz tutaj, do szkoły, a teraz śpij.

Pocałowała go na dobranoc i zgasiła światło. Roland całkowicie zapomniał o swojej wymówce ze świecznikiem. Zastanawiał się, czy nie spróbować whisky. Ale potem zrezygnował. Nie chciał iść do Buddiego z napęczonym alkoholem.

Następnego ranka Roland czekał na kolegę przed szkołą.

- Tutaj! - powiedział. - Mam jedną.

Buddi chciał zobaczyć butelkę i Roland pozwolił mu zerknąć

do swojej kieszeni. Do chłopców dołączył Martin Hanschke - chciał wiedzieć, co też tam chowają. Jednak Buddi zbył go:

- Odwal się! - I poszedł z Rolandem do klasy.

Po obiedzie Rolandowi spieszyło się do Buddiego. Chwycił torbę i już chciał zniknąć. Zatrzymała go jednak mama, pytając:

- A ty dokąd?

- Do Buddiego.

- A co to za jeden?

- Nowy z mojej klasy. Mieszka na Beethovenstrasse. Odrabiamy razem zadania z matmy.

- O szóstej masz być tu z powrotem.

- Dobrze, dobrze...

Drzwi otworzył mu Buddi.

- Wchodź - powiedział. - Masz flaszkę?

Byli sami w mieszkaniu. Ojciec Buddiego jeszcze nie wrócił ze swojego gabinetu dentystycznego, a matka popołudniami pomagała mężowi w pracy. Pokój kolegi obwieszony był plakatami motorów, ale Rolandowi najbardziej spodobało się stojące na środku piętrowe łóżko, do którego trzeba było się wspinać po drabince. Na czterech słupkach wisiała żółta zasłonka, sięgająca podłogi.

- Siedzę zawsze wewnątrz - wyjaśnił Buddi i odgarnął zasłonkę na bok. Na podłodze leżały materace i poduszki. Było trochę ciasno z powodu wieży i wbudowanych głośników oraz leżących wszędzie płyt.

- No i? - spytał Buddi.

- Czadowo! - odparł z uznaniem Roland.

Całe popołudnie przesiadzieli w pokoju Buddiego, oglądając foldery z motorami i słuchając muzyki. Od czasu do czasu pociągali whisky prosto z butelki. Roland poczuł przyjemne zmęczenie. Podał butelkę Buddiemu, mówiąc:

- Nie chcę więcej. Możesz wypić resztę.

- Mam mocną głowę - powiedział Buddi. - Zawsze sobie coś



podbierałem z barku. Mój stary nawet nie zauważał. No, ale potem Zucki poszedł na całość.

- Uwe Zuckmann z dziewiątej „a”? Ten grubas?

- Tak. Rany, jak on się wtedy upił! Jego matka poskarżyła się moim rodzicom. Teraz starzy zamykają barek na klucz, a w tym miesiącu zabrali mi kieszonkowe.

- Znowu mogę coś przynieść - zaproponował Roland.

- Przynieś - powiedział Buddi i włączył *Midnight Rambler* Stonesów.

*Did you hear about the midnight Rambler.* Rolandowi było niedobrze. Mimo to pociągnął jeszcze jeden łyk. *The one that shut the kitchen door.*

Kiedy musiał już iść, Buddi dał mu garść miętowych tictaków.

- Masz trochę. Zawsze je ssę, żeby starzy się nie pokapowali, że coś piłem.

Roland szybko nauczył się, w jaki sposób niezauważenie można podebrać butelki u państwa Teves. W sklepie musiało być dużo ludzi, wtedy było najłatwiej. Kiedy jakiś klient obserwował Rolanda, ten z uwagą czytał listę zakupów, a potem brał celowo z półki butelkę i wkładał do koszyka. Gdy tylko klient się odwracał, Roland szybko chował zdobycz do kieszeni kurtki lub do dodatkowej torby na zakupy. Serce waliło mu przy tym mocno, ale nie tak mocno, jak za pierwszym razem. Teraz to było niemalże miłe uczucie. Kiedy już został obsłużony, rozmawiał jeszcze chwilkę z państwem Teves. Opowiadał o szkole i słuchał ich opowieści o tym, jak udało im się znaleźć ulubioną płytę. Prawie zawsze dostawał gumę do żucia.

Mamę trochę dziwiło, że Roland ostatnio tak się rwie do robienia zakupów. Wcześniej nigdy nie był taki chętny.

- Powinnaś się z tego cieszyć! - mówił ojciec. - Poza tym, to w końcu jego obowiązek pomagać tobie. Nie musimy mu wiecznie o tym przypominać.

- Ma pani takiego miłego syna, pani Geiger - wychwalała Rolanda pani Teves. - Nic, tylko się z tego cieszyć.

Kradnąc alkohol, Roland robił się coraz bardziej beczelny i śmiały. Zwłaszcza gdy za ladą stała tylko właścicielka.

Popołudnia często spędzał u Buddiego. Kiedy starsi państwo Teves zamknęli na jakiś czas sklepik, by zrobić sobie urlop, Roland pojawił się u kolegi bez butelki. Buddi mruknął:

- Myślałem, że jesteś królem złodziei!

Tego dnia chłopcy nie bardzo wiedzieli, czym się zająć. Roland wkrótce wyszedł. Próbował ukraść jakiś alkohol w markecie, ale bał się, wszystkowidzących kamer. Tuż przed godziną osiemną udało mu się jednak w hali targowej. Wmieszał się w tłum i w części z produktami spożywczymi niezauważenie schował butelkę džinu.

Roland wzdrygnął się z niesmakiem po spróbowaniu nowego trunku.

- Fuj! To smakuje jak perfumy!

- Musisz sobie wcisnąć trochę cytryny, to nie będzie czuć - poradził Buddi.

Parokrotnie Buddi odwiedził Rolanda w domu.

Kilka razy dzwonili do drzwi starszej pani Marecke. Kiedy otwierała, krzyтели:

- Marecke! Czarownica!

- Stara dżdżownica!

Mama Rolanda nie lubiła Buddiego.

- Nie wiem dlaczego - mawiała. - Ten chłopak ma w sobie coś nieprzyjemnego.

Rankami Rolandowi było coraz ciężiej wstać z łóżka. Renate musiała go nieraz dwa, trzy razy budzić. W ogóle zauważyła, że syn źle wygląda.

- Co właściwie robicie u Buddiego?

- Och, nic takiego.

- Odpowiedz matce jasno - nakazał ojciec.

- No, słuchamy płyt... i takie tam.

- Co znaczy „takie tam”?!
- Nic.

Mama przyjrzała mu się badawczo. „Pewnie sądzi, że się onanizujemy”, pomyślał Roland.

- Nie wiem... - zaczęła. - Że też musisz ciągle tylko z tym Budim... Jest tylu miłych chłopców w twojej klasie...
- Odrabiamy razem lekcje - skłamał Roland.
- Tylko że efektów jakoś nie widać - zakończył ojciec.

Rolandowi coraz gorzej szło w szkole. Jedyne, co mu sprawiało radość, to pisanie wypracowań. Ciągłe miał wiele pomysłów i to jego eseje najczęściej odczytywano w klasie na głos.

- Gdybyś ze wszystkimi przedmiotami radził sobie tak dobrze, to nie trzeba by się było o ciebie martwić - powtarzano mu w szkole, powtarzano w domu.

Z angielskiego dostał już trzy piątki\* - jedną po drugiej. Roland już po pierwszej lekcji rano robił się zmęczony i przez resztę dnia drzemał. Thiele, ich wychowawca, zatrzymał go kiedyś po lekcji niemieckiego.

\* W Niemczech jest inny system oceniania-jedynka to najlepsza ocena, piątka najgorsza.

- Rolandzie, co się z tobą dzieje? - zapytał.
- Nie rozumiem? A co ma się dziać?
- Zauważyłem, że ostatnio jesteś taki przygaszony. Czymś się martwisz?
- Nieee...
- Pani Grave skarżyła się, że w ogóle nie udzielasz się na jej lekcjach.
- Ach, ona. Jej lekcje są takie nudne.
- Co też ty mówisz!
- Naprawdę! Wszyscy śpią na angielskim.
- No dobrze, skoro tak się nudzisz, to przynajmniej nie musisz tego tak ostentacyjnie okazywać.

Roland lubił Thiego. Był właściwie jedynym nauczycielem, którego szanował. Thiele przejął ich wychowawstwo w siódmej klasie i od tamtej pory polubili go prawie wszyscy uczniowie. Był

naprawdę *cool* i nie dawał się sprowokować chłopakom takim jak Martin Hanschke czy Buddi, którzy przeszkadzali mu w prowadzeniu prawie każdej lekcji.

Po powrocie z wywiadówki (kiedy Roland kończył siódmą klasę) ojciec urządził awanturę.

- No, „pięknych” rzeczy musieliśmy się o tobie nasłuchać! Wszyscy nauczyciele skarżyli się, że nie udzielasz się na ich lekcjach, a zadania domowe odrabiasz byle jak. Co ty sobie myślisz?! Po co chodzisz do szkoły?!

- Jestem ciągle taki zmęczony...

- To kładź się, do diabła, wcześniej spać!

- Nie wydzieraj się tak na dziecko, Karl-Heinz! - wmieszała się mama. - Wiesz przecież, ile teraz wymagają w szkole. Ta ciągła presja...

Przyjrzała się badawczo Rolandowi.

- Może brak mu jakichś witamin? Tak wyrósł ostatnio. Musimy z nim pójść do doktora Gülingera.

- Chłopak nie jest chory, tylko zwyczajnie leniwy - skwitował ojciec.

Roland nie miał najmniejszej ochoty iść do lekarza, ale matka już go zarejestrowała.

Doktor zważył go i zmierzył, obejrzał dokładnie jego stopy i kręgosłup. Pooglądał, osłuchał i opukał. Nie znalazł nic niepokojącego. Zalecił Rolandowi więcej ruchu i przepisał mu preparat witaminowy, który należało łykać codziennie rano przed śniadaniem.

- To pokolenie przerasta nas o głowę w dosłownym tego słowa znaczeniu - zażartował i wypisał mamie Rolanda nową receptę na tabletki uspokajające, które zwykle zażywała.

- Tylko niech pani za dużo ich nie bierze, pani Geiger - przestrzegł. - Lepiej wypić sobie wieczorem kieliszek koniacczku. Czasami potrafi zdziałać cuda.

Świadectwo Rolanda nie było może najlepsze, ale chłopak przeszedł do następnej klasy. Angielskiego nadal uczyła ich pani

Grave. Roland uważał, że uwzięła się na niego. Miała taki sposób bycia, który sprawiał, że Roland robił się nerwowy. Szczególnie kiedy wyrwała go do odpowiedzi.

- No, proszę! Pan Geiger jest dzisiaj znowu w szczytowej formie. Nie żałujmy sobie tej przyjemności, niech zabawa potrwa trochę dłużej. A więc, jak się odmienia *to tread*? Proszę, czekam.

Oczywiście, Roland znał koniugację tego czasownika „*to tread*”, ale w tej chwili miał zupełną pustkę w głowie. Poza tym czuł, że w sali jest duszno. Jak miały pracować jego szare komórki, skoro były niedotlenione? Właśnie o tym opowiadał na swej lekcji pan Hartmann.

- Duszno mi - powiedział Roland. - Trzeba otworzyć okno.

- A mnie tu od dawna jest duszno - odparła nauczycielka. - Znowu pięć, Rolandzie Geiger. Sam pewnie wiesz, czy możesz sobie pozwolić na jeszcze jedną złą ocenę. Peter Weland, proszę odmienić.

- *To tread, trod, trodden...*

Oczywiście nie mógł sobie na nią pozwolić. I Grave dobrze o tym wiedziała. Był słaby nie tylko z angielskiego, ale też z matematyki i historii. Nauczyciel historii, Berhmann, miał szczególne upodobanie do dat, a daty jakoś nie pasjonowały Rolanda. Ponadto chłopak uważał, że odpytywanie z dat to już przeżytek.

„*To draw, drew, drawn... to blow, blew, blown..., to grow, grew, grown...*”

Lekcja miała się ku końcowi, a Grave ciągle zajmowała się czasownikami nieregularnymi.

- Czasowniki nieregularne są niczym samogłoski języka angielskiego - mówiła przy każdej okazji.

Roland wstał. Nauczycielka spojrzała na niego zdziwiona.

- Muszę do toalety - powiedział i opuścił klasę. Na korytarzu zadudniły jego glany.

W chłopięcej toalecie pachniało środkami do dezynfekcji. Roland wszedł do ostatniej kabiny po lewej stronie, tuż przy oknie. Zamknął drzwi, opuścił klapę sedesu i usiadł na niej.

Następnie wyciągnął z buta piersiówkę. To był pierwszy raz, kiedy Roland poszedł w szkole do łazienki, by się napić.

Otworzył okno i wyjrzał na szkolne podwórko. Po lewej stronie stały rowery, z przodu, przy wejściu do szkoły - skutery i motory starszych. Dyrektor nie życzył sobie, by pojazdy parkowano na terenie placówki.

Buddi dostał na swoje piętnaste urodziny skuter, na którym początkowo jeździł dość ostrożnie, ale teraz wyciągał nawet 55 km/h. Roland także marzył o podobnym, ale jego mama była temu przeciwna.

- Bałabym się, że coś ci się stanie. Poza tym kończysz dopiero piętnaście lat.

Zawsze się bała. Dobrze, że Buddi pozwolił Rolandowi kilka razy się przejechać.

Roland usadowił się na parapecie i łyknął z piersiówki. Często dosiadał w wyobraźni własnej wypasionej maszyny i przekręcał kluczyk. Odpalał silnik. „Trzymaj się mocno”, mówił do dziewczyny. Obejmowała go wokół pasa. A on naciskał sprzęgło i gwałtownie ruszał. Oboje ubrani byli w czarne skóry, a na głowach mieli złote kaski.

Roland nie usłyszał dzwonka na przerwę. Przestraszył się, kiedy uczniowie zaczęli szturmować toaletę. Ktoś dobijał się do jego drzwi. Zszedł więc z parapetu i schował piersiówkę z powrotem do buta. Kiedy wyszedł z kabiny, wślizgnęły się do niej dwa maluchy, które równocześnie chciały do toalety.

- Całą lekcję przesiedziałeś w kiblu? - spytał Buddi, który stanął nagle przy jednej z umywalk. Roland skinął twierdząco głową. Zapomniał już o nauczycielce angielskiego i szkolnych kłopotach.

- Zobacz, co tutaj mam - powiedział Buddi.

Odchylił poły skórzanej kurtki i pokazał butelkę ukrytą w wewnętrznej kieszeni. Roland z kolei wskazał na swoje glany. Kumpeł wciągnął z rozkoszą powietrze.

- Spadamy? - spytał Buddi.

- Jeśli o mnie chodzi, to chętnie - odparł Roland.

Weszli do klasy i zabrali swoje plecaki. W pogodne dni większość młodzieży spędzała przerwę na podwórku szkolnym. Przy ponad tysiącu uczniów trudno było zauważyć, że Buddi i Roland opuścili szkołę.

Buddi uruchomił skuter, a Roland usadowił się za kierownicą. Po drodze kupili w automacie po dwie puszki piwa. Potem pojechali do parku i zatoczyli dwie szybkie rundy. Przy piaskownicy Buddi zahamował ostro przed jakimś malcem. Ten ze strachu aż przysiadł i rozplakał się. Matki siedzące na ławkach zaczęły złorzeczyć, jedna z nich wstała, wzięła dzieciaka na ręce i ruszyła w kierunku Buddiego. Ten śmiejąc się zaczął jeździć skuterem wokół kobiety.

- Daj spokój - powiedział Roland.

I odjechali szybko przez trawnik.

Potem położyli się w słońcu i pili piwo. Od czasu do czasu, popijali również z piersiówki. Roland przesuwając palcami żdźbła trawy. Obrywał stokrotkom główki i układał je w stosik. Wyobraził sobie, że za parkiem znajduje się morze. Niemal słyszał fale i widział białą obwódkę, jaką na piasku zostawia piana morską. Poddawał się kołysaniu.

Później Buddi podjechał jeszcze raz pod automat z napojami i wziął kolejne puszki piwa. Siedzieli w trawie i bębniłi solówki na wyimaginowanej olbrzymiej perkusji. Obok nich truchtem przebiegli żołnierze w pełnym rynsztunku. Chłopcy nie mogli opanować śmiechu. Kuksnęli się porozumiewawczo i poturlali po trawie.

Było tuż po godzinie trzeciej po południu. Roland przestraszył się.

- O, cholera! Muszę wracać do domu. Matka znów wpadnie w panikę.

- Nie pękaj. Zadzwoń z mojej komórki i powiesz, że jesteś u mnie i musimy coś jeszcze przygotować na jutro do szkoły.

Wsiedli na skuter i odjechali. Jakiś emeryt wykrzykiwał gniewnie za nimi, dotykając laską pustych puszek, które zostawili na trawie.

Buddi wszedł do kiosku, by kupić kartę doładowującą do telefonu. Przy kontuarze stała spora kolejka. Z nudów chłopak zaczął przeglądać repertuar kin w jednej z gazet.

- Hej, właśnie leci *Matrix*! Muszę obejrzieć! Czadowo! Idziesz ze mną?

- Nie mam już kasy.

- Pożyczę ci. Mam jeszcze parę euro. No, dalej, chodź! Zdążymy jeszcze na szesnastą!

- Muszę zadzwonić.

- Zdążysz po drodze.

Pojechali do Buddiego i odstawili skuter na podwórko. Potem „dziewiętnastką” dojechali do metra. Przy wejściu kupili w automacie cztery puszki piwa, które zabrali ze sobą do kina. Roland miał wyrzuty sumienia, że nie zadzwonił do matki, ale jak tylko zaczął się film i chłopak zapomniał o całej sprawie.

Kiedy wyszli z dusznej sali kinowej na świeże powietrze, Roland zatoczył się. „Gówniany film - pomyślał. - A w ogóle to wszystko jest gówniane”. Na głównym przystanku uderzył w automat biletowy, bo znów zamiast biletów wyleciały z niego z powrotem monety. Gdy wchodził do „dziewiętnastki”, obsunęła mu się noga ze stopnia i zachwiał się. Podczas jazdy tramwajem nie mógł się utrzymać i na każdym zakręcie obijał się o siedzących pasażerów. Gdy zwolniło się jedno miejsce, Buddi opadł na nie i rozwalil się na siedzeniu. Rozprostował nogi, nie bacząc, że przeszkadza tym siedzącemu naprzeciwko starszemu małżeństwu. Mężczyzna od razu zaczął go upominać:

- Ej, ej, zachowuj się porządnie!

Buddi w odpowiedzi coś zabelkotał i jeszcze szerzej rozpostarł nogi. Wtedy wmieszała się kobieta:

- Przecież oni są kompletnie pijani!

Roland miał wrażenie, że mężczyzna od dłuższej chwili mu się przygląda.

- Chodź, wysiadamy - powiedział do Buddiego.



Od Opernplatz szli na piechotę.

To Buddi pierwszy wskoczył na niewielkie usypisko piętrzące się przed placem budowy. Roland wziął rozbieg i po chwili leżał już w wilgotnym piasku. Tańczyli wkoło na kopcu, aż go udeptali. Potem przewrócili beczkę, która prawie w całości napełniona była wodą. Furtka w chwiejnym drewnianym płocie okalającym budowę od razu wypadła, kiedy Buddi się o nią mocno oparł. Przeszli, balansując, po długich deskach, a potem wbiegli schodami na górę nieukończonego budynku. Na drugim piętrze, w jednym z pomieszczeń, leżały worki z cementem. Przeciągnęli wspólnie jeden z nich do otworu na okno, podnieśli wysoko i zrzucili. Worek spadł, wokół uniosły się tumany kurzu. Obserwowali z góry pustą o zmierzchu ulicę.

Za każdym razem, kiedy kolejny worek uderzał o ziemię, wydawali dziki okrzyk. Szary kurz unosił się aż do pierwszego piętra.

Nawet nie zauważyli, kiedy dwóch policjantów weszło po schodach. Buddi próbował głupich sztuczek typu „zapomniałem, jak się nazywam”, ale na nic się one zdały. Jeden z funkcjonariuszy złapał go mocno za ramię i wypchnął przed siebie na schody.

- Na komisariacie na pewno sobie przypomnisz. No, jazda, idziemy!

Roland od razu podał swoje nazwisko i adres zamieszkania. Drugi z mundurowych pchnął go, Roland potknął się i zaczął schodzić za Buddim. W radiowozie obaj chłopcy musieli usiąść z tyłu, policjanci zaryglowali za nimi drzwi. Roland dostał czkawki.

Na komisariacie chłopak musiał czekać, aż przyjedzie po niego ojciec. Przez cały czas wpatrywał się milcząco w podłogę. Widniała na niej plama, która kształtem przypominała gruszkę. W końcu rodzic przybył. Potwierdził dane osobowe syna i podał swoje. Powiadomiono go o incydencie, a także o tym, że musi się liczyć z wniesieniem wniosku o naliczenie grzywny za szkody, które

poczynił na placu budowy jego syn. Pan Geiger podpisał protokół i mógł już zabrać Rolanda.

Podczas drogi do domu żaden nie powiedział ani słowa. Także później, na klatce schodowej.

Matka oczekiwała ich w progu. Spojrzała bojaźliwie na męża.

- To coś złego? - spytała.

Karl-Heinz zamknął za sobą drzwi od mieszkania. Potem podszedł do Rolanda. Najpierw uderzył go w twarz.

- Wytrzępię z ciebie to pijaństwo! - krzyknął.

Roland nie bronił się, osłonił tylko rękoma twarz przed razami. Ojciec bił go, gdzie popadło, po całym ciele. Roland słyszał, jak matka woła:

- Karl-Heinz, tylko go nie zabij! Karl-Heinz, tylko go nie zabij!

Po tym incydencie Buddi został wysłany do internatu. Roland natomiast dostał cztery tygodnie szlabanu na wychodzenie z domu i zabrano mu kieszonkowe.

- Za moje pieniądze nie będzie się upijał! - grzmiał ojciec. - Nie za moje!

W drugim tygodniu kary matka wcisnęła Rolandowi dziesięć euro.

- Tylko nic nie mów tacie - przykazała.

Roland skwapliwie przyrzekł:

- Jasne, że nic nie powiem!

I za część pieniędzy kupił w pijalni tanie wino cytrynowe. Ukrył butelkę w swojej szafce z ubraniami i postanowił, że będzie oszczędnie pił, żeby starczyła mu na długo.

W nocy spał niespokojnie, a rano dławilo go w gardle. Wstał z łóżka i podszedł do szafki. Po pierwszym łyku od razu poczuł się lepiej.

Kilka dni później wyciągnął matce z portfela dziesięć euro. Zaraz po szkole poszedł do sklepu państwa Teves i poprosił o niezbyt drogą wódkę.

- Chcę podarować tacie na urodziny - wyjaśnił.

Starszy pan zaczął szukać marki tańszej, ale czysto palonej, jak powiedział.

- O, ta jest odpowiednia. Idealna na prezent dla twojego taty.

Gdy pan Teves ładnie pakował butelkę, Roland chwycił z regału jeszcze cydr.

Cieszył się, że znowu zrobił sobie zapas.

Kiedy w piątek wrócił ze szkoły, zastał w domu płaczącą mamę.

- Że też musisz mi to robić! - szlochała.

Roland w pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi. Zrozumiał, kiedy pokazała mu dwie puste butelki. Chciał je dawno wynieść, ale coś mu przeszkodziło.

- Znalazłam je w twojej szafce!

- No i? Już od dawna tam leżą.

Matka powiedziała tylko: - Dziecko! - i próbowała go objąć. Przez moment Roland poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia.

Chłopak bał się, że matka powie ojcu o butelkach, ale najwyraźniej zatrzymała tę informację dla siebie. Nie powiedziała także nic wtedy, gdy zdarzyła się historia z etykietą.

Któraś dnia ojciec nie mógł spuścić wody w toalecie.

- Czemu ubikacja nie działa? - spytał matki.

- Nie wiem. Może spłuczka się zepsuła.

Karl-Heinz nachylił się nad zbiornikiem na wodę i odkrył w nim do połowy opróżnioną butelkę kminkówki. Odkleiła się od niej etykieta i zatkała odpływ wody.

- Mój Boże... - westchnęła matka, a ojciec wrzasnął:

- Roland! Czy to twoja sprawka?!

Roland udał szczere zdumienie. On także nie wiedział, w jaki sposób butelka mogła się znaleźć w spłuczce. Może ukryli ją tam robotnicy?

- Od lat nie było u nas żadnych robotników!

- No to może butelka leży tam już od lat - tłumaczył chłopak.

- Dość! Renate, przytrzymaj mnie, bo inaczej oberwie!

Ojciec zasunął wieko i umył ręce.

- Mój drogi - powiedział do Rolanda, akcentując wyraźnie każde słowo. - Jeśli jeszcze raz cię przyłapię...

Na swoje piętnaste urodziny Roland nie dostał używanego skutera, tylko nowiutki aparat cyfrowy.

- Tym możesz robić zdjęcia bez ograniczeń – zachwalała matka. - Książkę o fotografowaniu podarowali ci dziadkowie.

Ojciec mruknął:

- Właściwie to nie zasłużyłeś na te wszystkie prezenty!

Jednak później dał Rolandowi przyjaznego kuksańca w bok i powiedział:

- A teraz wypijemy za twoje zdrowie!

Ze szkoły przyszło pismo, że Roland znów ma nieusprawiedliwione nieobecności.

- Rolandzie - westchnęła mama. - Dziecko, co ty wyprawiasz?!

- Mogłabyś powiedzieć Thielemu, że musiałem iść do lekarza, a ty nie miałaś czasu, żeby napisać mi usprawiedliwienie? Proszę, mamuś!

- O Boże, Boże, tylko tato nie może się o tym dowiedzieć. Wiesz, jaką by urządził scenę?!

Ojciec ostatnio był bardzo nerwowy i każdy drobiazg wprowadzał go z równowagi. Liczył na to, że awansuje z agenta na kierownika, ale dyrekcja wybrała na to stanowisko jego kolegę z pracy, Masłowskiego.

- Pewnie tylko dlatego, że chodzi z szefem do sauny! – żalił się Karl-Heinz.

Poza tym zaczął łysieć. Nakupował w aptece różnych środków, ale nie pomagały. Zaczesał teraz włosy tak, by przykryły łysinę. Roland uważał, że to głupie. Kiedyś powie to ojcu.

Następnego dnia matka poszła do szkoły. Pan Thiele uparł się, by Roland był przy ich rozmowie.

- W końcu chodzi o ciebie! - tłumaczył uczniowi.

Matka rzeczywiście zaczęła wyjaśniać, że Roland ostatnio często

chodził do lekarza. Jednak Thiele od razu jej przerwał.

- Pani Geiger, nie będziemy o tym rozmawiać. Mam przecucie, że Roland jest na najlepszej drodze, by uzależnić się od alkoholu.

Renate spojrzała przerażona na nauczyciela. „Skąd Thiele się dowiedział?”, pomyślał Roland, a głośno zaczął się bronić:

- Wcale tak dużo nie piję!

Thiele poradził matce, aby niezwłocznie udała się z synem do poradni dla alkoholików.

- Pani mąż też powinien przy tym być - dodał.

- Mój mąż często jest w rozjazdach.

- Alkoholizm to choroba, pani Geiger. Nie powinna pani bagatelizować sprawy.

- Wcale nie bagatelizuję!

- Młodzież o wiele szybciej uzależnia się niż dorośli. U dorosłego może minąć nawet osiem, dziesięć lat, zanim stanie się alkoholikiem. Piętnastolatkowi wystarczy czasami sześć miesięcy.

- To straszne!

Następnie Thiele powiedział, że Roland musi się wziąć do intensywnej pracy, jeśli chce przejść do następnej klasy.

- Z angielskiego grozi mu piątka, z matematyki – słaba czwórka, biologia - też czwórka, i to z minusem. To nie wystarczy, Rolandzie.

W drodze powrotnej matka cały czas płakała, a w Rolandzie odezwały się wyrzuty sumienia.

- Mamuś, proszę, uwierz mi, już nie będę pił! Możesz dać sobie za to rękę uciąć!

- Jeszcze sobie stroisz głupie żarty!

- Nie, mówię serio. Zobaczysz. Przyrzekam ci. Poza tym Thiele trochę przesadza. Przecież piję o wiele mniej niż Martin Hanschke czy Peter Lattow. O, ten to dopiero się upija!

Roland postanowił mniej pić. Wyznaczył sobie plan: nie sięgać po alkohol przed godziną siedemnastą. Tylko co trzy godziny może się napić. W butelce musi coś zostać. Nigdy więcej mocnych

trunków. Wino jabłkowe może być. Nie jest takie mocne. Mają je zawsze w domu.

- Jedyne dobre na pragnienie - uważał ojciec.
- W każdym razie lepsze od piwa - wtórowała mu matka. - Czytałam gdzieś, że wino jabłkowe zawiera wiele minerałów.

Roland spał niespokojnie, budził się często w środku nocy. Kilka razy musiał zwymiotować. Bał się, że rodzice usłyszą, jak się krztusi. Na szczęście ojciec miał mocny sen, a matka ostatnio zażywała tabletki nasenne. Gdy tylko chłopak napił się alkoholu, od razu czuł się lepiej.

Matka przy każdej sposobności wypytywała go:

- Chyba nie piłeś znowu?

Któregoś razu Roland krzyknął na nią:

- W ogóle już nie piję!

Nakrył ją kiedyś, jak grzebie w jego rzeczach. Od tamtej pory zaczął lepiej chować butelki. Ostatnio rzadko też był głodny, jadał tylko po to, żeby sprawić przyjemność matce. Jej zatroskana twarz działała mu na nerwy.

Roland miał szczęście - przeszedł do następnej klasy.

Na pierwszej lekcji po wakacjach okazało się, że ich nowym wychowawcą będzie Bromme. W klasie zawrzało. Większość uczniów buntowała się.

- Nie pozwolimy na to! Chcemy, by Thiele nadal był naszym wychowawcą!

Jednak nawet sam pan Thiele nic nie mógł na to poradzić.

- Mnie również postawiono przed faktem dokonanym - mam was oddać i przejść którąś z piątych klas.

„Oddać, odstawić, odrzucić”, pomyślał Roland.

Angielskiego nadal uczyła ich pani Grave. Każdego wieczoru poprzedzającego klasówkę Roland miał problemy z zaśnięciem. Matka zaczęła dawać mu swoje małe różowe pigułki nasenne. W szafce nocnej trzymała cały arsenał tabletek: od bólu głowy, na uspokojenie i nasennych. Tych ostatnich miała duże opakowanie. Trudno było więc zauważyć, kiedy Roland brał sobie kilka. Po

nich robiło mu się tak przyjemnie sennie...

Coraz częściej wyciągał matce również pieniądze z portfela. Czasami było to pięć euro, czasami dziesięć, a nawet jakieś drobniaki. Kiedyś odkrył w szafie z ubraniami cztery banknoty, każdy po pięćdziesiąt euro. Nie mógł się oprzeć takiej pokusie i zabrał jeden.

Później sam siebie pytał, czy matka nic nie zauważyła, czy tylko nic nie powiedziała.

Także w klasie Roland narobił długów. Niektórzy koledzy żądali zwrotu pieniędzy. Musiał ciągle coś nowego wymyślać, żeby jakoś zyskać na czasie. Ulrike Bartels od pół roku czekała na zwrot czterdziestu euro.

Matkę Rolanda bardzo zabolalo, kiedy właśnie z tego powodu pani Bartels zadzwoniła do niej. Renate wielokrotnie przepraszała ją za syna.

Po rozmowie zaczęła lamentować:

- A teraz jeszcze te historie z pieniędzmi! Powiedz mi, czym sobie na to wszystko zasłużyłam?!

Roland przyrzekł matce, że z kieszonkowego odda jej to, co za niego założyła. Jednak nic z tego nie wyszło.

Ulrike było głupio, że jej matka interweniowała w sprawie pieniędzy.

W połowie roku, w dziewiątej klasie, doszła do nich Elisabeth Kühne. Wcześniej chodziła do szkoły w Monachium i miała nadrobiony materiał z większości przedmiotów.

- Jesteście zupełnie bez energii! - powiedział Bromme, z którym mieli matematykę. - O, proszę, znów widzę, jak Geiger przysypia, jakby siedział o trzeciej nad ranem w barze! Geiger, czy dwa trójkąty są przystające, jeśli mają równe kąty?

Roland tymczasem znajdował się w stanie jakby półsnu, całkiem zapatrzony w Elisabeth. Uważał, że dziewczyna ma piękne włosy. Tak ładnie przeciągała, wymawiając literę „r”. Rolandowi podobało się to. W ogóle nie słyszał, co Bromme opowiada o stroinach, kątach i odwzorowaniu.

Przezornie odpowiedział jednak:

- Tak.
- Pięknie! Nasz przyjaciel Geiger - z właściwą sobie biegłością - znów wybrał niewłaściwą możliwość. Oczywiście, że trójkąty nie zawsze są przystające.

Kilka osób roześmiało się.

Po ostatniej lekcji trzeba było wybrać dwoje uczniów, którzy skserują materiał na następny dzień. Roland zobaczył, że Elisabeth zgłasza się na ochotnika, więc od razu krzyknął:

- Ja też!

Gdy dziewczyna kartkę po kartce wkładała do kopiarki, Roland nie odezwał się ani słowem. Nie spojrział też na koleżankę ani razu.

Kiedy skończyli kopiować, dziewczyna zapytała:

- W którym idziesz kierunku?
- Na przystanek na Bockenheimer.
- To możemy kawałek przejść razem, ja jeżdżę „dwudziestką czwórką”.

Także w drodze na przystanek milczeli. Gdy nadjechał autobus, Elisabeth pożegnała się:

- No, to cześć...

Rolandowi nie przyszło nic innego na myśl, jak powiedzieć:

- Tak... cześć.

Był zły na samego siebie.

Następnego dnia usłyszał, jak Elisabeth i jeszcze kilka innych osób z jego klasy umawiają się na spotkanie w sobotę wieczorem w klubie „Drop in”.

- Może też wpadnę - powiedział.

Od Christiana Berga z równoległej klasy pożyczył dziesięć euro i kupił sobie wódkę.

Po obiedzie wyjął z lodówki fantę i zaniósł ją do swojego pokoju. Usiadł przy biurku i napełnił szklanekę w połowie napojem, a w połowie wódką. Butelkę fanty postawił na stole. Dla zapewnienia sobie alibi.



Gdy w pewnym momencie do pokoju zajrzała matka, Roland udał, że odrabia zadanie domowe. Po chwili wyszła bez słowa.

Chłopak rozmyślał o Elisabeth. Wyobrażał sobie, że razem tańczą. Przytuleni do siebie wolno kołysali się w rytm muzyki. Osnuwały ich kolorowe refleksy dyskotekowych świateł, odbijające się tysiakkrotnie od ścian i podłogi.

Matka - bez wiedzy ojca - dała Rolandowi dwadzieścia euro na wyjście do „Drop in”.

- Tylko się nie upij - przestrzegła syna.

- Nonsens - odparł Roland. - Tam nie można się upić. Jest o wiele za drogo.

- Najpóźniej o północy masz być z powrotem w domu - krzyknął za nim ojciec.

Kiedy Roland przyszedł, zastał już resztę kolegów i koleżanek. Elisabeth siedziała obok Martina Hanschke. Roland zamówił colę z rumem i usadowił się obok Ulrike. Wypił szybko drinka i przyniósł sobie następnego. W „Drop in” nikt nie przejmował się zakazem sprzedawania alkoholu nieletnim.

- Niezłe masz tempo - zauważyła Elisabeth.

Za plecami Rolanda nagle zrobiło się tłoczno. Jeden z chłopaków trącił stołek, na którym siedział Roland.

- Ej, ty! Uważaj trochę, jak chodzisz! - uniósł się.

- Przepraszam, to było niechcący.

- Masz szczęście, inaczej popamiętałbyś mnie! - mruknął Roland.

- Człowieku, uspokój się i nie udawaj tutaj twardziela! - powiedział Martin Hanschke.

- Przestań już! Chodź, zatańczymy - wtrąciła się Elisabeth, pociągając za sobą Martina. Roland usłyszał jeszcze, jak tamten mówi do dziewczyny:

- Nie potrafi nic innego jak tylko się upić!

„Jeszcze im wszystkim pokażę”, pomyślał Roland i poszedł do baru kupić sobie trzecią colę z rumem za ostatnie pięć euro.

Zastanawiał się, czy nie wstąpić do „Penthouse'u”, ale na dworze padał deszcz, więc wrócił do domu.

Rodzice oglądali w telewizji jakiś kryminał. Roland mruknął „dobry wieczór” i usiadł obok nich. Matka była zdziwiona, że tak wcześnie wrócił.

- Nie podobało ci się w „Drop in”? - spytała.

- Podobało.

Spojrzała na niego badawczo.

- Podobało! - powtórzył i wstał z kanapy. - Idę do łóżka. Chcę rano odrobić zadanie z matmy. W poniedziałek piszemy klasówkę.

- O Boże! - powiedziała matka. - Z czego?

- Czy w tym domu nie można już w spokoju obejrzeć filmu do końca?! - zdenerwował się ojciec.

- Idę już - mruknął Roland.

Nie pocałował mamy na dobranoc, choć na klatce schodowej przepłukał usta płynem odświeżającym oddech. W łóżku rozpląkał się.

W niedzielne przedpołudnie drużyna ojca rozgrywała mecz na punkty z drużyną konkurencji. Matka i Roland musieli ojcu kibicować. Już na samym początku Karl-Heinz rzucał karnego, a Renate zagrzewała go jak oszałała:

- Gooool, goool!

W przerwie spotkania Roland wyszedł na zewnątrz. W hali sportowej śmierdziało, według niego, starymi trampkami. Kiedy wrócił na trybuny, na tablicy wyników widniało 12: 12, jednak zespół ojca wygrał ostatecznie 13:12. Po tym pasjonującym meczu ojciec był w radosnym nastroju i zabrał mamę i Rolanda na obiad do restauracji. Zamówili zajęczy udziec, a Karl-Heinz wyjaśnił im, jakich to sztuczek użył, by przechytryć bramkarza.

Po południu Roland miał zamiar odrobić zadanie domowe z matematyki. Przygotował sobie linijkę, cyrkiel i kątomierz. Pierwszego zadania nie rozumiał. „Zbuduj trójkąt ABC. Bok c równa

się 5 cm, stosunek boków b do a ma się tak, jak 2:1, natomiast wysokość wynosi 3,5 cm”. Na papierze w kratkę zaczął kreślić cyrklem przecinające się okręgi, coraz to nowe. Przyniósł farby akwarele i zaczął kolorować poszczególne figury.

Nagle do pokoju wszedł ojciec.

- Co to ma znaczyć? Myślałem, że odrabiasz lekcje.
- Chciałem tylko coś wypróbować.
- Co to znaczy „wypróbować”? Powinieneś odrabiać lekcje!
- Jakoś nie mam ochoty...
- Tak się nie da. Ja też nie zawsze robię tylko to, co chcę.
- Dobrze, dobrze, już robię. Ojciec wyszedł z pokoju.

Roland jeszcze chwilę poruszał pędzlem w mętnej, zabarwionej farbami wodzie. „A właściwie dlaczego «gamma»?”, zastanawiał się.

W poniedziałek pisali u pana Bromme klasówkę z algebry. Roland nie mógł się skoncentrować, czuł, że nauczyciel już od dłuższej chwili go obserwuje. Ręce mu drżały, przez co jego pismo zamieniło się w bazgroły. Powoli gryzmolił coraz większe liczby.

Bromme przechadzał się po klasie. Na chwilę przystanął za plecami Rolanda, a potem zabrał mu zeszyt.

- Chyba żarty sobie stroisz, Geiger!

Chłopak poczuł, że oblewa go zimny pot.

- Jest mi niedobrze - wydusił. - Chyba coś mi zaszkodziło.

Nauczyciel uniósł wysoko brwi. Po klasie przeszedł szmer.

Martin Hanschke ściągał od Ulrike. Bromme krzyknął:

- Hanschke! Po czym dodał:

- Pisać dalej!

Potem zwrócił się do Rolanda:

- Wyjdź na świeże powietrze.

Chłopak podniósł się i lekko zatoczył. Nauczyciel podtrzymał go i przez chwilę wyglądał tak, jakby nie wiedział, co należy zrobić w tej sytuacji. Elisabeth zgłosiła się:

- Już skończyłam. Mogę wyjść z Rolandem?

Bromme skinął potakująco głową. Dziewczyna oddała mu swoją kartkę.

- W porządku - powiedział nauczyciel. - Wyjdź z nim, bo jeszcze nam tu upadnie. A reszta pisać - nakazał pozostałym uczniom.

Na korytarzu Elisabeth otworzyła na oścież okno. Roland wychylił się przez nie. Wstrząsały nim dreszcze.

- Jest ci zimno? - spytała.

- Nie, nie...

Roland zastanawiał się, czy pójść do toalety. Ale ta na drugim piętrze była akurat zamknięta, a na dół nie dałby rady teraz zejść.

Nagle stało mu się zupełnie obojętne to, że Elisabeth przy nim stoi i z troską mu się przygląda.

- Muszę się napić - powiedział, wyciągając z glana piersiówkę.

Elisabeth z niepokojem patrzyła, jak chłopak pociąga łyk z butelczki.

- Potrzebujesz tego? - spytała.

- Czasami - odparł.

Kiedy wrócili do klasy, pan Bromme spytał:

- Czujesz się już lepiej?

- Tak - padła odpowiedź. - Wszystko jest już w porządku.

Po lekcji nauczyciel zaproponował mu, żeby klasówkę napisał powtórnie w przyszłym tygodniu.

- Zdajesz sobie sprawę, Geiger, że wyświadczam ci przysługę? Zwykle nie pozwalam pisać drugi raz. Ale ponieważ jesteś zagrożony, dam ci możliwość poprawy. W przeciwnym razie czarno widzę twoje przejście do następnej klasy. Może powinieneś usiąść z kimś i przerobić jeszcze raz równania kwadratowe? Zapytaj Elisabeth Kühne. Może się zgodzi ci pomóc.

Roland uważał, że właściwie bez sensu jest znów pisać klasówkę. „I tak ją zawalę”, myślał. Ale mimo to spytał Elisabeth. Od razu przystała na prośbę.

- Przyjdź do mnie już dzisiaj - zaproponowała. - Tak około trzeciej.

Roland był już pod domem Elisabeth dwadzieścia minut przed czasem.

- Przyszedłem trochę za wcześnie - usprawiedliwił się, kiedy dziewczyna otworzyła mu drzwi.

- Nic nie szkodzi - odparła. - Wejdz.

Była sama.

- Mama przychodzi dopiero około wpół do szóstej z dyżuru. Pracuje jako laborantka w szpitalu uniwersyteckim. A siostra wróci o piątej. Odbywa praktykę w biurze architektonicznym.

- Nie wiedziałem, że masz siostrę.

- Ma dziewiętnaście lat. W zeszłym roku zdała maturę.

- A twój tato?

- Mieszka w Monachium. Moi rodzice rozwiedli się. Dlatego wyjechaliśmy stamtąd. Ale do roboty - zrobię nam tylko herbatę i zjemy. Pogadać możemy później.

Roland właściwie nie miał ochoty zabierać się za zadania z matematyki, ale Elisabeth już zaproponowała przerobienie ćwiczeń z książki *Algebra II*.

- Jeśli Bromme powiedział ci, żebyś powtórzył równania kwadratowe, to na pewno będziesz z tego pisał klasówkę.

Kazała mu rozwiązać samodzielnie kilka zadań. Jeśli czegoś nie wiedział lub popełnił błąd, wtedy mu pomagała. Potem rozmawiali o nauczycielach i trochę o innych uczniach z klasy. Elisabeth też uważała, że Bromme jest okropny.

Kiedy w następnym piątek na trzeciej godzinie lekcyjnej Roland poszedł do biblioteki, by ponownie pisać klasówkę z matematyki, Elisabeth trzymała za niego kciuki. Był zdenerwowany, ale dopisało mu szczęście. Bromme rzeczywiście dał mu zadania z równania kwadratowego, a wśród nich były nawet dwa, które Roland rozwiązywał z Elisabeth.

Nauczyciel sprawdził pracę już na następny dzień. Był mile zaskoczony.

- Proszę, proszę, mamy tu małą niespodziankę! Geiger się wysilił i napisał klasówkę na trójkę minus!

Roland widział, jak ta wiadomość ucieszyła Elisabeth.

Często się teraz spotykali. Roland nie mógł się doczekać popołudnia, by jak najszybciej wyjść z domu. Matka w ostatnim czasie ciągle miała depresję. Stawała w łazience przed lustrem i przyglądała się swojej twarzy. Ojciec jeszcze częściej bywał teraz poza domem. Raz późnym wieczorem doszło do kłótni między nimi.

Matka krzyczała:

- Nie myśl, że jestem taka głupia!

- A mnie się nie podoba, że szpiegujesz!

Ojciec wyszedł, trzaskając drzwiami. W mieszkaniu nastąpiła cisza. Po chwili matka weszła do pokoju syna i odezwała się zapłakanym głosem:

- Rolandzie?

Chłopak udał, że śpi.

Matce nie odpowiadało, że Roland spotyka się teraz prawie codziennie z Elisabeth. Ale ojciec stanął po jego stronie.

- Z chłopakiem, który w tym wieku nie ma jeszcze dziewczyny, coś jest nie tak.

Roland napisał wiersz. W pierwszej chwili chciał go wyrzucić. Bał się, że Elisabeth go wyśmieje, jednak w końcu zdecydował się pokazać jej utwór. Dziewczyna przeczytała go dwa razy, a potem spytała, czy może zatrzymać.

- Jest piękny - powiedziała o wierszu. - W ogóle wspaniale jest być z tobą.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała.

Elisabeth nigdy wprost nie zagadnęła Rolanda o jego problemy z alkoholem. Chłopak prawie przestał pić. W ostatnim czasie niemal zapomniał o butelce. Cieszyło go to. „Miałem rację- myślał.

Mogę przestać pić”. Ale później potrzebował jednak swojego „porannego łyka”. Pił tylko w ciągu dnia, odstępy między kolejnymi dawkami były dłuższe. Butelkę, która wcześniej starczała mu od poniedziałku rano do wtorkowego wieczora, teraz opróżniał dopiero w środę albo czwartek. Starał się czasami rezygnować z jednego łyka. Dla Elisabeth.

Któregoś wieczoru w „Drop in” doszło do przykrego zajścia. Martin Hanschke wniósł po kryjomu do dyskoteki butelkę rumu i chciał się nią ze wszystkimi podzielić. Roland zakrył swoją szklankę dłonią.

- Dzięki, nie chcę...

- A co, twoja dziewczynka cię pilnuje?! - zadrwił Martin, szczerząc zęby.

- Martin, jesteś zwykłą świnią! - rzuciła Elisabeth, zanim jej chłopak zdołał odpowiedzieć.

Ale i tak było mu bardzo przykro.

Także w domu układało się lepiej. Wieczorami Roland zwykle brał sobie jedno piwo z lodówki. Matka zawsze wtedy zerkła na niego z wyrzutem.

- Znów piwo?

- Dzisiaj to dopiero pierwsze, mamus! Jedno piwo! Przecież to nic takiego! A poza tym piwo prawie w ogóle nie zawiera alkoholu.

- Nie wygaduj głupot! - skwitował ojciec. - A ty, Renate, musisz w końcu zrozumieć, że chłopak już nie jest dzieckiem. Szesnastolatek może pozwolić sobie na jedno piwo.

- Ale Roland dopiero co skończył szesnaście lat!

- Lepiej uważaj, żebyś sama nie wpadła w alkoholizm - powiedział ojciec z ironią. - Ty też lubisz się czasami napić.

Matka poczuła się urażona. Tych dwóch niewielkich kieliszków koniaku, które wypijała wieczorem, nie powinno się jej wypominać.

- Dobrze wiesz, Karl-Heinz, że po nich lepiej mi się zasypia. Ale to nie znaczy, że jestem alkoholiczką.

- To, że nie jesteś, nie znaczy, że nie możesz nią zostać...

Przed końcem roku Rolandowi udzieliło się zdenerwowanie matki.

- Żeby tylko Bromme nie postawił ci piątki z matematyki!

Oby. Z angielskiego miał piątkę jak w banku, a z biologii wychodziła mu słaba czwórka.

Elisabeth uważała wprawdzie, że nauczyciele nie zostawią Rolanda na drugi rok w tej samej klasie, ale on wcale nie był tego taki pewny.

- Jeśli nie zdam, rezygnuję ze szkoły - powiedział do dziewczyny.

„Po co mi szkoła, skoro nie będę z Elisabeth w tej samej klasie”, myślał.

- Zdasz maturę - groził mu ojciec. - Nawet gdybyś miał powtarzać klasę trzy razy. Bez matury jesteś zerem. Byłe kominiarz potrzebuje dzisiaj matury.

Rozdając świadectwa, Bromme zachował alfabetyczną kolejność. Poświęcił trochę czasu Petrze Ehmcke i jej doskonałym ocenom. Potem wywołał Rolanda - w klasie nie było ucznia, którego nazwisko zaczynałoby się na literę „F”.

- No, tak - powiedział po chwili nauczyciel. - Teraz nie będzie już tak przyjemnie. Kolej na Geigera. Czego byś sobie życzył?

Roland najchętniej uderzyłby wychowawcę prosto w twarz.

- Co masz taką ponurą minę?! Zostajesz z tą klasą jeszcze jeden rok.

Roland o mały włos nie popłakał się ze szczęścia.

Nie mógł już dłużej znieść głupich powiedzonek Brommego. Czuł, że zaraz zemdleje. Przepuścili go! Przepuścili!

Niektórzy z klasy zastukali w blat stolików. Elisabeth uśmiechnęła się do Rolanda.

- Musimy to uczcić - powiedział ojciec i otworzył do kolacji butelkę wina jabłkowego. - Dostałem ją od Ahlberga, dyrektora IGA.

Butelka szybko została opróżniona. Ojciec otworzył nową.



- To nie jest takie dobre - stwierdził. - Ale da się wypić.

Po kolacji siedzieli w dużym pokoju. Karl-Heinz kartkował program telewizyjny, a matkę rozbolała głowa.

- Chyba się położę - oznajmiła.

Ojciec nagle spostrzegł, że zostawił w biurze dokumenty dla klienta, z którym miał się nazajutrz spotkać.

- A niech to diabli! - zaklął. - Teraz jeszcze muszę wracać do pracy. - Rolandzie, pojedziesz ze mną?

Roland przytaknął i przed wyjściem pocałował mamę w policzek.

- Pa, mamus. Na razie!

Przed budynkiem biura ojciec nagle się zatrzymał.

- Zanim wejdziemy, może skoczylibyśmy na małe piwko do Erwina? Co ty na to? - zapytał Rolanda.

- Tak, czemu nie.... - odparł z wahaniem chłopak.

Roland zawsze obawiał się tego, że tato zabierze go kiedyś do „swojego” baru. „Żeby tylko jakoś przetrwał...”, pomyślał.

Swoich kumpli przy stoliku ojciec przywitał głośnym „Hej!”.

- To mój syn, Roland. Świątujemy właśnie jego promocję do następnej klasy!

- No to wspianiale! Musimy za to wznieść toast.

- Erwinie, następna kolejka na mój koszt! - krzyknął ojciec do właściciela knajpki. - Piwo i wódka. Jak zwykle.

- Zaraz przyniosę!

Rolandowi zrobiło się gorąco.

Jakiś gruby mężczyzna z paczki zagadnął go:

- Do jakiej szkoły chodzisz? Mogę mówić ci po imieniu?

- Oczywiście, że możesz mu mówić po imieniu! Byłoby wspianiale! - odparł ojciec. - Chodzi do gimnazjum. Teraz zdał do dziesiątej klasy. Wspólnymi siłami jakoś jeszcze raz się udało. A w gruncie rzeczy to woła o pomstę do nieba, czego teraz wymagają od uczniów. Reformują szkoły i reformują, a kto na tym cierpi? Dziękuję, Erwinie.

Właściciel postawił wódkę i piwo.

- No to, po jednym! Za tego młodego mężczyznę!

Roland nagle dostał zgagi. Oparł rękę na blacie, żeby nikt nie zauważył, jak drży. Widział, jak inni wychylają kieliszki z wódką. Następnie sam opróżnił swój pierwszy kieliszek, choć tego nie chciał.

- Twój syn ma niezły pociąg do picia - zauważył jeden z mężczyzn.

Po trzecim piwie zaczęły się dowcipy.

„Jestem całkiem trzeźwy”, pomyślał Roland.

Ktoś zamówił wódkę „Aquavit”.

- Dla Rolanda nie. Już ma dosyć - powiedział ojciec.

- No co ty? Nie uchodzi poprzestać na jednym kielichu! - krzyknęli pozostali. - Karl-Heinz, musisz przyzwyczać się do tego, że twój syn staje się mężczyzną!

Roland wypił zawartość kieliszka jednym haustem. „Co jest? - zastanawiał się w myślach. - W ogóle nic nie czuję. Nie działa dziś na mnie?”.

Późnym wieczorem ojciec zadzwonił po taksówkę. „Te dokumenty z biura chyba nie były takie ważne”, pomyślał Roland. Na klatce schodowej Karl-Heinz zatoczył się.

- Oj, chyba jestem podchmielony - zabełkotał i, nie wiedzieć czemu, roześmiał się bez powodu.

- Cicho, cicho - szeptał ciągle, choć Roland w ogóle nie zachowywał się głośno. - Musimy uważać na twoją mamę.

Wślizgnęli się ukradkiem do mieszkania. Roland poszedł prosto do łóżka. W trampku ukrytą miał jeszcze piersiówkę z koniakiem.

W drodze do kina Elisabeth zobaczyła na wystawie sklepu z ceramiką gliniany garnek w kształcie głowy.

- Zobacz, ten mi się podoba - powiedziała.

- Taki sam mogę dla ciebie ulepić - odparł Roland.

- Naprawdę?

- Tak. Podaruję ci na urodziny.

W piątej klasie na plastyce robili z gliny zwierzęta. Innym wychodziły jakieś śmieszne potworki, ale w glinianej figurce ulepionej przez Rolanda rozpoznać można było słonika. Był nawet wystawiony w szkolnej witrynie na korytarzu na parterze.

Nazajutrz Roland od razu opowiedział nauczycielowi plastyki o swoich planach i spytał, czy załatwi dla niego glinę.

- Zrobienie takiego garnka wcale nie jest proste. Ale ty jesteś zdolny, Rolandzie. Musisz sobie tylko wszystko zaplanować: glina schnie czternaście dni, a potem trzeba ją jeszcze wstępnie wypalać. Na całość należy przeznaczyć trzy tygodnie. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowy - pozwolę ci wypalić garnek tutaj, w pracowni szkolnej.

- Tylko nie zrób bałaganu - powiedziała mama, dając mu dużą drewnianą deskę, na której zawsze kroїła cebulę.

Roland sprzątnął wszystko ze swojego biurka. Potem rozłożył na desce długie płaty gliny. Ostrożnie kładł warstwę na warstwie, wygładzając krawędzie. Oczyma wyobraźni widział dokładnie owalną twarz, szeroko rozstawione oczy, zgrabny nos, usta. Po bokach zamierzał zrobić dwa uchwyty. „Nos nie powinien za bardzo wystawać”, myślał, zlepiając razem kawałki gliny. Tego popołudnia zaczął formować od nowa jeszcze dwukrotnie.

- Kiedy dostanę z powrotem deskę? - spytała mama.

- Gdy tylko skończę - odparł i palcem wskazującym zrobił w miękkim surowcu wgłębienie na oczy.

Glina szybko wyschła i zrobiła się twarda.

„Muszę poprosić o nową - pomyślał Roland. - Ale wiem już, jak zrobić twarz”.

W szkole ciągle zapominał wziąć od nauczyciela plastyki zapas gliny.

- Co z moim garnkiem? - dopytywała się Elisabeth.

- Robi się - odpowiadał Roland.

Do urodzin dziewczyny zostały jeszcze dokładnie trzy tygodnie.

W parku zagadnął go jakiś chłopak, czy nie chce „grudy”.

- Nie, dzięki - odparł Roland.

Palił już kilka razy haszysz, ale za każdym razem czuł się po nim kiepsko. Nie, to nie dla niego.

Po chwili nieznajomy zapytał go, czy nie ma ochoty na rozebranie partyjki bilardu w „Penthouse”.

Oczywiście, że Roland miał ochotę. Chętnie grał w bilard, a kiedy coś wypił, to nawet trafiał w białą bilę.

Harald - bo tak miał na imię nieznajomy - zamówił piwo i wódkę.

- Ja stawiam - powiedział.

Zapłacił także za następne dwa piwa. Rozmienił przy tym sto euro. Grał dobrze w bilard, ale Roland był lepszy.

- Właściwie ile masz lat? - zapytał go Harald.

- Dwadzieścia.

- I co porabiasz?

- W tej chwili nic. Jestem bezrobotny.

Rolandowi przypadł do gustu nieznajomy. Dobrze mu się z nim rozmawiało.

- Nie widziałem cię tu przedtem - zauważył Roland.

- Chodzę w różne miejsca, najczęściej do „Macky Messer” - wyjaśnił mężczyzna. - Jeszcze pytanie. Znasz kogoś, kto chce kupić whisky? Znajomy może ją załatwić całkiem tanio. Trzeba tylko wziąć karton, czyli przynajmniej dwanaście butelek. Litrowych!

- Ile chce za butelkę? - zainteresował się Roland.

- Za karton - stówę. To naprawdę okazja. Same znane marki! Za butelkę 0,7 litra w sklepie zapłacisz ponad dwadzieścia euro.

- Byłbym zainteresowany... Ale nie mam tylu pieniędzy.

- Nic nie szkodzi. Może sprzedać na przykład za aparat cyfrowy, mp3, komórki.

- Mam aparat...

- Możesz przynieść. Jutro też tu będę.

„Sześć butelek mógłbym komuś odsprzedać - rozmyślał w drodze do domu Roland. - Może za dwanaście albo trzynaście euro.

To byłoby razem siedemdziesiąt dwa euro”. Chętnych na pewno by znalazł. Ale gdzie miałby postawić karton z dwunastoma butelkami? Matka od dawna szperała w jego rzeczach. Piwnica też odpadała, od kiedy ojciec oznajmił, że musi w niej w końcu zrobić porządek. Roland zabezpieczył już nawet dwie butelki po piwie pszenicznym, które nappełnił winiakiem.

„Szkoda, że nie mamy ogrodu, mógłbym wtedy zakopać butelki”, główkował, dochodząc do niedokończonego budynku przy Grünenbergweg. Przystanął. Deska w drewnianym płocie dała się z łatwością przesunąć. Roland przecisnął się przez dziurę.

„Za cyfrowkę Harald pewnie da mi stówę” - kalkulował. - Jest co najmniej tyle warta”.

Jednak gdy mężczyzna zobaczył przyniesiony przez Rolanda aparat fotograficzny, powiedział:

- Jest zużyty. Mogę ci za niego dać połowę.
- Jaki zużyty? Nówka! Prawie go nie używałem.
- Zrozum, za używany sprzęt kumpel płaci mniej.

Roland wahał się przez moment, ale kiedy kumpel pokazał mu w bagażniku swojego samochodu karton z dwunastoma butelkami whisky, Roland nie mógł oprzeć się pokusie. Harald zakomunikował, że brakujące pięćdziesiąt euro ma mu dostarczyć do przyszłego tygodnia.

Kiedy na dworze się ściemniło, podjechali na budowę i zatargali pudło z whisky na pierwsze piętro. Roland znalazł wielką plastikową płachtę, na której usiedli. Otworzyli jedną z butelek i popijając od czasu do czasu, rozmawiali o tym i owym. Harald zwierzył się, że planuje wyjechać kiedyś do Australii.

„Opale - pomyślał Roland. - Tutaj na górze jest naprawdę przytulnie”.

Później Harald musiał jechać do klubu „Macky Messer”, bo miał tam pilne spotkanie. Zanim poszli, Roland schował jedną butelkę do kieszeni kurtki. Potem starannie zakrył brezentem karton.

„Po whisky nie czuć tak alkoholem jak po piwie - myślał. - To dobrze. Cieszę się, że wziąłem whisky”. Na klatce schodowej użył

odświeżacza do ust, tak na wszelki wypadek. Było już po dziesiątej wieczorem. Roland psychicznie nastawił się na przeprawę w domu. Ojca jednak nie było, a matka siedziała w dużym pokoju i robiła na drutach. Przed nią stała otwarta butelka wytrawnego białego wina.

- Późno wróciłeś - powiedziała na widok syna.
- Wstąpiłem jeszcze do Elisabeth.

Oparł się o framugę drzwi, aby matka nie zauważyła, jak bardzo jest pijany.

- Twój ojciec powiedział, że musi wyjechać na dwa dni do Kolonii, do centrali firmy, ale wątpię, by tam pojechał.

- Mamuś... Jestem taki zmęczony. Położę się spać, dobrze?

- Dobranoc, synku. Śpij dobrze - powiedziała i wróciła do robienia na drutach.

W swoim pokoju chłopak zobaczył, że matka zabrała z powrotem deskę do krojenia. Gruda gliny leżała teraz na kawałku gazety. Oba oczodoły wpatrywały się w Rolanda. Obrócił bryłę w drugą stronę.

Roland opróżnił karton whisky szybciej, niż przypuszczał. Z interesu, który sobie obmyślił, też nic nie wyszło. Udało mu się sprzedać tylko dwie butelki, ale nadal winny był Haraldowi jeszcze pięćdziesiąt euro. Jednak z Haraldem można się było dogadać. Załatwił mu następną partię alkoholu i udzielił kolejnego kredytu. Roland obiecał oddać mu pieniądze w ciągu tygodnia.

Na stacji metra, na poziomie „B”, poznał chłopaka i dziewczynę. Grali na gitarach i śpiewali folkowe piosenki.

Od czasu do czasu jakiś przechodzień idący do metra lub do hali targowej wrzucał monety do puszeki, którą postawili przed sobą na ziemi.

Chętnie pociągnęli whisky, którą Roland przyniósł w termosie, ale pełnej butelki nie chcieli kupić.

- To nie ma znaczenia - skwitował Roland.

Przysiadł na schodku i przysłuchiwał się, jak śpiewają.

W szkole zrobił się cichy i próbował nie rzucać się w oczy.

- Co się dzieje? - spytała Rolanda Elisabeth.
- Nic.
- Jesteś obrażony z jakiegoś powodu?
- Nie!
- Przyjdiesz dziś do mnie po południu?
- Jeszcze nie wiem... Może.
- Wolisz być sam?
- Tak.
- Rozumiem. Czasami też mam takie dni, że nikogo nie mogę znieść. Byłoby mi tylko niezmiernie przykro, gdybyś odsunął się ode mnie.
- Tak się nie stanie. W tej chwili mam tylko... Nie wiem, jak to powiedzieć.

Ucieszył się, kiedy zadzwonił dzwonek kończący przerwę. Połknął jedną ze swoich małych różowych tabletek i ostatnie dwie lekcje przedrzemał.

Wieczorami coraz później wracał do domu.

To wywoływało kłótnie z ojcem, który chciał wiedzieć, gdzie Roland się włóczy.

- Nie włóczyłem się! Byłem z kilkoma znajomymi!
- Znajomymi! A co to właściwie ma znaczyć?
- No, z moimi przyjaciółmi.
- Masz skończyć z tym szwendaniem się całymi dniami!
- Nie możesz mnie zamknąć!
- O, to jeszcze zobaczysz, co ja mogę!
- Karl-Heinz, nie zniosę dłużej twojego krzyku - narzekala matka.

Ojciec przyniósł sobie piwo.

- Racja - odparł i zatrzaskał drzwiczki lodówki.

W tym czasie dług Rolanda u Haralda wzrósł do dwustu pięćdziesięciu euro.

Na początku tygodnia Elisabeth spytała go:

- Ale w sobotę na moje urodziny przyjdiesz, tak? Bez ciebie nie miałabym ochoty świętować.
- Jasne, że przyjdę.

- Myślałam, żeby imprezę zacząć o siódmej, ale ty możesz wpaść wcześniej, żeby mi pomóc w przygotowaniach.

- W porządku.
- Nie mogę się już doczekać.
- Ja też.

W sobotę matka postanowiła zrobić generalne porządki. Kiedy Roland zwinął dywan w dużym pokoju, zrobiło mu się słabo. Nie był w stanie podnieść takiego ciężaru.

- Ależ z ciebie chucherko! - zadrwił ojciec i pomógł mu.

Później Roland miał wynieść śmieci.

- Jeszcze to można wyrzucić - zawołała matka, kładąc grudę gliny do drugiego wiaderka na śmieci.

Przy obiedzie Roland wspomniał, że nie ma jeszcze żadnego prezentu dla Elisabeth. Matkę to poruszyło.

- Nie możesz pójść z pustymi rękoma! Jak by to wyglądało?!

Dała mu dziesięć euro i Roland od razu pojechał tramwajem na Opernplatz. Jednak minęła już czternasta i wszystkie sklepy były pozamykane.

Na Goethestrasse Roland spotkał Petera Lattowa, który miał ochotę na piwo. Poszedł więc z nim i zamówił guinnessa.

Było dwadzieścia minut po dziewiątej wieczorem, kiedy Roland w końcu zjawił się u Elisabeth. Już na klatce schodowej usłyszał muzykę. Drzwi otworzyła mu Elisabeth.

- Rolandzie! Nareszcie!

- Nie mogłem wcześniej. Miałem wypadek na rowerze. Taki jeden wyjechał z Schubertstrasse jak szalony, prosto na mnie. Dzięki Bogu, że za rogiem jest szpital.

- Czy coś ci się stało?

- Nie, tylko rower jest zniszczony. A potem jeszcze policja musiała spisać całe zajście i takie tam.

- Hej, Rolandzie, na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Czemu tak na mnie patrzysz?

- Ach, nic.

- Teraz tylko nie zaczynaj kazania jak moja matka!



- O ludu! Coś ty taki przewrażliwiony?! Nawet mi jeszcze nie złożyłeś życzeń!

- Ach, tak... Wszystkiego najlepszego.

Roland zbliżył się do Elisabeth, żeby ją pocałować. Ona jednak odwróciła głowę. Chłopakowi zrobiło się gorąco. Po raz kolejny miał nieczyste sumienie.

Dziewczyna spojrzała na niego.

- Znów się upiłeś! Tylko czy musiałeś akurat w moje urodziny?!

- Wszyscy jesteście tacy sami!

- Rolandzie!

Elisabeth próbowała go zatrzymać, ale on, potykając się, już zbiegał po schodach na dół.

W klubie młodzieżowym odbywała się jakaś uroczystość. Kilku nauczycieli też tam było. Thiele siedział tuż przy drzwiach. Pomachał Rolandowi, żeby podszedł do jego stolika, ale chłopak ruszył od razu do baru.

- Podaj mi piwo - powiedział do dziewczyny, która nalewała sok jabłkowy.

- Piwa nie mamy - odparła.

- Gówniany interes!

- Ach, odczep się. Masz już dosyć!

Roland oparł się o stół i potracił dwie pełne szklanki.

- Człowieku, uważaj!

Szklanka potoczyła się po blacie. Dał się słyszeć odgłos tłuczonego szkła. Ktoś powiedział:

- Chłopak jest pijany i zaraz będzie się awanturować. Wyzrucić go stąd!

- Nie dotykać mnie! - wrzasnął Roland.

Thiele natychmiast do niego podszedł i pociągnął w kierunku drzwi wyjściowych.

- Chodź, Rolandzie - powiedział. - Zaprowadzę cię do domu.

- Sam mogę iść!

- Nie sądzę.

Na ulicy Thiele złapał chłopaka mocno za ramię, ale ten uwolnił się z uchwytu i chciał uciekać. Nie dał jednak rady, upadł. Thiele pomógł mu wstać.

Po drodze milczeli. Roland skupił się na tym, by iść prostym krokiem. Chciał od razu wrócić do domu. Thiele zapytał go w pewnej chwili:

- Rolandzie, czy byłeś z rodzicami w poradni dla uzależnionych?

- Nieee...

- A dlaczego nie? Chyba wyraziłem się jasno na spotkaniu z twoją mamą!

Chłopak wzruszył ramionami. Thiele zaczął jeszcze raz.

- Rolandzie, tak dalej być nie może. Odwiedzisz mnie kiedyś? Myślę, że musimy poważnie porozmawiać. Wiesz przecież, gdzie mieszkam. Na Feuerbachstrasse.

- Nie mam ochoty na pogadanki - powiedział Roland i poszedł do domu.

W niedzielne popołudnie zadzwonił do Elisabeth.

- Hej! Czy wczoraj zachowałem się jakoś źle na twoim przyjęciu?

- Ciebie w ogóle tam nie było! Wpadłeś o wpół do dziesiątej i zaraz poszedłeś. To, że coś piłeś, zauważyłam. Ale to, że tak...

- Tak, tak... - przerwał dziewczynie. - Musiałem jeszcze coś załatwić. No to na razie. Zadzwonię później.

Odłożył słuchawkę. Czuł niepokój. To nie był pierwszy raz, kiedy urwał mu się film. Z trudem próbował zrekonstruować, gdzie wczoraj był po wyjściu od Elisabeth. Nie mógł sobie jednak niczego przypomnieć, choć wiedział, że coś się jeszcze wydarzyło. „Mogliby mnie zabić, aja bym nawet tego nie spostrzegł”, pomyślał.

W poniedziałek na dwóch pierwszych godzinach mieli angielski.

„Pójdę na trzecią lekcję - zdecydował Roland. - Powiem, że zasnę”.

Chociaż był początek listopada, na dworze świeciło słońce.

Roland poszedł do parku i usiadł na ławce przy małym stawie.

Po drugiej stronie stało kilku kolesi, którzy z rzucającą się w oczy ostrożnością po kolei palili jointa.

Tego ranka znów było w domu wielkie poruszenie. O wpół do ósmej odezwał się telefon. Dzwonili z pracy ojca.

- Oczywiście znowu muszę wyjechać! Jakby nie mogli wysłać kogoś innego! Stuttgart i Monachium! Znowu dwa dni w delegacji! - utyskiwał ojciec i zawołał za Rolandem: - Zachowuj się grzecznie!

Roland podniósł patyk i zaczął kreślić na ziemi kreski i krzyżyki. Potem starł je nogą. Z drzewa spadł brązowy zeschnięty liść. Kręcił się, opadając powoli. Zanim dosięgnął ziemi, podmuch wiatru znów uniósł go ku górze i liść zaczął wirować w powietrzu. W końcu upadł na trawnik i tam już pozostał. Roland nie mógł zapanować nad natłokiem myśli. Przypominały mu się wszystkie radiowe i telewizyjne programy, które kiedykolwiek oglądał. Interesujące i te błahe, bez znaczenia. Elektromagnetyczne fale. Muzyka, słowa, obrazy.

Przed Rolandem zatrzymała się jakaś dziewczyna i poprosiła o jedno euro. Wyglądała mizernie, więc Roland poczęstował ją resztą alkoholu z butelki. Nieznajoma przysiadła się do niego i chwilę rozmawiali. Powiedziała mu, że latem była w Grecji i że znów chciałaby tam pojechać.

- Nie wiem, co ja tutaj robię - przyznała.

Kiedy nagle przed Rolandem wyrósł Harald z dwoma innymi typkami, chłopak przestraszył się. Harald zachowywał się nerwowo i w pierwszej chwili Roland nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć.

- Chcemy dostać kasę!
- Jaką kasę?
- Te dwieście pięćdziesiąt euro, które jesteś nam winien.
- Jak to wam? Harald przecież powiedział, że ja...
- Harald nie ma tu nic do gadania. No, jazda, dawaj szmal!
- Ale ja nie mam żadnych pieniędzy!

- No to pójdziemy zaraz do ciebie do domu, a ty pięknie poprosisz o nie tatusia i mamusię. Chyba nie chcesz, żebyśmy to sami zrobili, co?

- Ale ja nie mogę...

Mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce mocnym chwytem podniósł Rolanda z ławki.

- Nie pieprz!

- Ty też idziesz z nami - zwrócił się drugi z mężczyzn do Haralda.

Wzięli Rolanda i Haralda w środek i poprowadzili do granatowego BMW. W drodze chłopak zastanawiał się gorączkowo, co powinien zrobić. Czuł, jak oblewa go zimny pot. Pieniędzy nie da rady zdobyć tak szybko. Matka nie nosiła tak dużej sumy w portfelu. Musiał wymyślić coś innego...

Potem przypomniał sobie o pierścionku. Brylancie, który leżał w małym brązowym pudełeczku. Potwierdzona autentyczność. Jego braku matka nie zauważyła tak szybko. Nigdy go nie zakłada. Od wieków leżał w szufladzie szafki nocnej. Roland raz tylko widział, jak matka trzymała pudełeczko w ręku, nie otwierając go.

- Zaczekamy tutaj - powiedział wyższy z mężczyzn, kiedy zatrzymali się przed blokiem Rolanda.

- Nie będziemy długo czekać. Jeśli zaraz nie zejdziesz, wchodzimy na górę.

Roland wbiegł po schodach. Miał nadzieję, że matka nie ścieliła akurat łóżek. Niemal się modlił, żeby była na zakupach. Zamknął za sobą drzwi wejściowe i zawołał od progu:

- Mamo?!

Nikt nie odpowiadał. W sypialni rodziców wyjął szufladę nocnej szafki. Wypadły z niej tabletki, czopki i chusteczki do nosa. Roland zebrał wszystko i z powrotem włożył na miejsce, a brązowe pudełeczko zabrał ze sobą.

Cały drżał.

Granatowe BMW nadal stało pod domem.

Roland pokazał mężczyznom pierścionek. Powiedzieli:

- OK. Zobaczymy, ile jest wart.

Na początku nie wiedział, dokąd ruszyli, jednak po chwili zobaczył żółty neon. Lombard. Ten w skórzanej kurtce rzucił:

- Zaczekacie tutaj. - Po czym wysiadł z samochodu.

- Nic nie mogę na to poradzić - Harald usiłował się wytłumaczyć przed Rolandem.

Trwało dobrą chwilę, zanim mężczyzna wrócił do auta. Mruknął do Rolanda i wręczył mu dowód zastawu.

- Masz. Żebyś mógł mamusi wykupić.

Roland przeczytał: pierścionek - jedna sztuka, brylant, jeden karat, trzysta euro. - Ale... - jęknął chłopak.

- Odsetki, mój drogi. Za darmo to tylko śmierć.

Zostawili go na drodze i odjechali razem z Haraldem.

- Zostaw mnie w spokoju! Jestem chory! - fuknął na matkę Roland, kiedy ta usiłowała dobudzić go przed siódmą rano.

- Nie wiem już, do czego to cię doprowadzi - biadolili. - Znow pileś! A ojciec też zostawia mnie samą z tym wszystkim!

Roland obrócił się do ściany. Drżał z zimna. Przez całą noc nie zmrużył oka. O wpół do jedenastej poszedł do toalety. Matka przestraszyła się.

- Mój Boże! Jak ty wyglądasz?!

- Mówiłem ci przecież, że jestem chory! Musiałem coś zjeść.

Renate wyszła do apteki, żeby kupić dla Rolanda jakiś środek przeciwbólowy. Chłopak pomyślał o skrytce ukrytej na budowie. „Musi tam być jeszcze co najmniej siedem butelek”, kalkulował. Wstał, ubrał się w rzeczy, które akurat leżały obok łóżka i wyszedł z mieszkania.

Ani na klatce schodowej, ani na ulicy nie natknął się na nikogo znajomego.

Kiedy późnym wieczorem wrócił do domu, kwit zastawu leżał na środku stołu. Matka siedziała na sofie i płakała. Na ojca Roland wolał nie patrzeć.

- Dobry wieczór... - powiedział, zatrzymując się w drzwiach.

Ojciec wydawał się zadziwiająco spokojny.

- Czekam na wyjaśnienia.

Roland nie odpowiedział.

- Matka znalazła to w twoim łóżku.

- To nie należy do mnie - powiedział cicho chłopak.

- Ach tak. Najpierw okradasz własną matkę, a potem jeszcze kłamiesz. Zastawiłeś pierścioneł, który podarowałem jej w dniu twoich narodzin.

Przerwa.

- To koniec, jasne?!

Zapadła cisza. Żadne z rodziców się nie odezwało. Roland nie śmiał spojrzeć na matkę.

- To mogę sobie iść... - zaczął powoli.

- Proszę. Tutaj nikt cię nie zatrzymuje.

Przy drzwiach wyjściowych Roland usłyszał, jak matka mówi:

- Karl-Heinz! Nie możesz mu pozwolić tak po prostu odejść!

- Ma się rozumieć, że mogę!

Roland trzymał rękę na klamce i czekał. Jednak nic się nie wydarzyło. Wyszedł więc z mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Włączył światło na klatce schodowej. Słyszał głos matki, ale nie mógł zrozumieć jej słów. Za wąską szybą w drzwiach odbijała się sylwetka ojca, potem jednak zaczęła stawać się coraz bardziej niewyraźna, aż całkiem znikła. Dało się słyszeć krótkie kliknięcie, kiedy zgasło oświetlenie na korytarzu. Światło na schody padało już tylko zza szyby w drzwiach. W bloku zrobiło się cicho.

Chłopak wyciągnął z bocznej kieszeni kurtki butelkę. Korek wypadł mu z ręki, potoczył się niżej, aż zatrzymał się na którymś ze schodków. Roland usiadł na stopniu. Zauważył, że cieknie mu z nosa. Pociągnął nosem. Kiedy z trzeciego piętra ktoś zaczął schodzić na dół, wstał i wyszedł z bloku. Powlókł się w kierunku budowy.

Musiał spać jakiś czas. Jak długo, tego nie wiedział. Na dworze było już jasno. Czuł przenikliwe zimno. Z trudem wstał. Ledwo

trzymał się na nogach. Jakaś butelka potoczyła się po podłodze. Usiłował owinąć się brudną bawełnianą narzutą, lecz ciągle zsuwała mu się z ramion. Roland nie wiedział dokładnie, czego chce. Tysiące myśli kotłowało mu się w głowie. Wyjął z kartonu butelkę i trzymając ją mocno, zaczął powolutku schodzić po schodkach.

Był już na dole, gdy zrobiło mu się niedobrze. Usiadł na stosie desek, odkręcił butelkę i upił z niej łyk. Ponownie wstał, z trudem dźwigając ciężar swojego ciała. Przy drewnianym płocie zeszło mu sporo czasu, zanim odsunął na bok sztachetę. Przecisnął się przez szparę i poczuł się znacznie gorzej. W głowie huczały mu odgłosy miasta.

Kiedy dwaj policjanci położyli Rolanda na poboczu, doszedł trochę do siebie. Słyszał głosy ludzi.

- Mój Boże, on jest zupełnie pijany! W tym wieku!
- O, jedzie już karetka!

Głosy umilkły. Ktoś podniósł mu prawą powiekę i zapytał, jak się nazywa. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł poruszyć ustami. Poczul, że zostaje podniesiony w górę. Potem poddał się delikatnemu kołysaniu.

W szpitalu mógł już powoli zebrać myśli. Podał swoje nazwisko i adres zamieszkania. Lekarka spytała go, ile wypił.

- Nie wiem...
- To nie pierwszy raz, prawda?

Nic nie odpowiedział. Był zmęczony i kleiły mu się oczy. Dali mu jakiś zastrzyk. A on chciał, żeby go zostawiono w spokoju. Jednak kobieta wypytywała dalej:

- Ile pijesz dziennie?
- Nie wiem... W ostatnim czasie więcej.
- Jedną butelkę?
- „Nie wiem”, pomyślał.
- Więcej niż jedną butelkę?
- Nie... Tylko czasami.
- I co pijesz?
- Różnie...

Usłyszał jeszcze, jak lekarka mówi:

- Jest bardzo wychudzony.

Potem zasnął.

Na sali leżał z dwoma innymi pacjentami, podłączony był do kroplówki. Chciało mu się pić, usta miał spierzchnięte. Język zdawał się być gruby, jakby z trocin. Dreszcze jednak ustąpiły. Coś musieli mu zaaplikować.

Po południu przyszli rodzice i usiedli przy jego łóżku. Przynieśli mu kosmetyczkę z przyborami toaletowymi i dwie piżamy. Widzieli się już z lekarką.

Matka miała spuchnięte od płaczu oczy i wodziła bez ustanku rękoma po kołdrze, wygładzając wszystkie fałdki.

- Zawsze obawiałam się, że sięgniesz kiedyś po narkotyki! A teraz to! Dlaczego musiało to tak daleko zajść? Nie mogę sobie tego darować!

- Renate, przestań już lamentować. Przecież to nic nie da.

- Lekarka uważa, że jestem chory - powiedział cicho Roland.

- Zrobimy wszystko, żebyś wyzdrowiał, mój chłopcze - powiedział ojciec z powagą.

W piątek Roland miał zostać wypisany ze szpitala. Właśnie pakował szczoteczkę do zębów i mydło, kiedy przyproawdzono nowego pacjenta. Dwóch sanitariuszy trzymało go mocno pod ramię. Chłopak włókł nogami po podłodze. Drżał tak mocno, że nie był w stanie sam się rozebrać.

Pielęgniarze założyli mu kaftan bezpieczeństwa, położyli na brzuchu i zawiązali z tyłu rękawy.

- Przypatrz mu się dobrze - powiedziała do Rolanda lekarka. - Tak to jest. Ma dziewiętnaście lat. Już trzeci raz do nas trafia.

Rodzice nie wspomnieli więcej ani słowem o zastawionym pierścionku. Roland wielokrotnie chciał rozpocząć rozmowę na ten temat, ale za każdym razem brakowało mu odwagi. Któregoś dnia, szukając znaczków na list, przypadkowo odkrył w szufladzie ojca małe brązowe pudełeczko.



„A więc wykupili pierścionek - pomyślał. - Mogli mi bez obaw o tym powiedzieć”.

W pokoju Rolanda leżały otrzymane od lekarki broszurki z adresami ośrodków: Anonimowi Alkoholicy, Niebieski Krzyż\*...

\* Niebieski Krzyż to organizacja działająca w Niemczech jako stowarzyszenie pomagające osobom uzależnionym od alkoholu, narkotyków i leków.

- W każdym razie powinienes skontaktować się z jedną z tych grup - radziła mu pani doktor. - Ważne, abyś wiedział, że nie jesteś sam ze swoim problemem. Będziesz potrzebował pomocy, a najlepszą mogą zaoferować ci, którzy sami mają podobne doświadczenia. Oto moja rada - rozejrzyj się za grupą wsparcia.

Roland nie miał ochoty się rozglądać. W ogóle nie znosił takich grupowych spotkań.

Rodzice próbowali załatwić mu miejsce w ośrodku odwykowym, lecz nie było to takie proste. Nie ze względu na koszty - ojciec dowiadywał się w tej sprawie.

- W 1968 federalny sąd społeczny uznał alkoholizm za chorobę. Od tego czasu koszty terapii pokrywa ubezpieczenie.

Nie, problem stanowił wiek Rolanda. Był za młody. Za kilka tygodni miał skończyć dopiero siedemnaście lat. Na leczenie zgodnie z przepisami przyjmowano osoby, które ukończyły już osiemnasty rok życia.

Czasami stawały Rolandowi przed oczyma obrazy, które pokazywała mu w szpitalu lekarka. Otłuszczona wątroba, marska wątroba. Pokurczone twory chorobliwie podświetlone na czerwono i żółto.

- Tak wkrótce będzie wyglądać także twoja wątroba, Rolandzie. Już teraz jest z całą pewnością uszkodzona. Zapalenie wątroby następuje szybciej, niż można przypuszczać. Codzienna dawka alkoholu, i to przez dłuższy czas, niszczy ją niesamowicie. W wypadku kogoś tak młodego jak ty wystarczy już niewielka ilość. Wątroba zajmuje się wtedy wyłącznie redukcją alkoholu, a innych płynów i pokarmów, jakie przyjmujemy, nie jest już w

stanie przerobić i oczyścić z toksyn. W jej tkance zbiera się tłuszcz, komórki wątroby przestają wykonywać swoje funkcje, ulegają zniszczeniu. Otłuszczona wątroba może się jeszcze odbudować, jeśli zacznie się żyć odpowiedzialnie. Bez alkoholu! Jeśli nadal pijesz, proces niszczenia postępuje. Toksyny z przemiany materii uszkadzają twoje komórki mózgowie, a co to oznacza, chyba możesz sobie wyobrazić. Twoja wątroba zaczyna się kurczyć. To prowadzi do śmierci. W najgorszym wypadku wykrwawisz się. Ze zniszczonej wątroby sączy się krew, w żołądku i przelyku dochodzi do powstania pewnego rodzaju żylaków, które już przy lekkim odkaslnięciu lub czkawce mogą pęknąć. Tak, i to jest koniec. Delirium albo wylew. Powinieneś przywoływać sobie cały czas ten obraz.

Lecz Roland nie chciał. Przerażała go ta wizja. Kiedy się pojawiła, chłopak zażywał jedną z małych różowych „uszcześliwiających” pigulek.

Fizycznie Roland doszedł do siebie zadziwiająco szybko, więc rodzice nie musieli już tak się o niego troszczyć. On również przestał zaprzętać sobie myśli tym, co lekarka opowiedziała mu o skutkach picia alkoholu.

Rodzice zachowywali się tak, jak gdyby nic się nie stało. Właściwie przestali narzekać, od kiedy Roland wrócił ze szpitala. Ojciec wieczorami coraz częściej zostawał w domu i wszyscy oglądali razem telewizję. Chłopak zauważył, że bardzo się starają. Działo mu to na nerwy.

Pewnego razu niechcący usłyszał, jak Karl-Heinz mówi w sypialni do Renate:

- Jako młody mężczyzna też miałem taki okres, kiedy piłem bez opamiętania. Ale z tego powodu nie stałem się przecież alkoholikiem!

- Jednak doktor powiedziała, że Roland jest uzależniony.

- Daj spokój, co też lekarze mogą wiedzieć!

Rodzice zawiadomili szkołę, że Roland jest chory.

- Nie ma mowy o alkoholu - uzgodnił z matką ojciec. - Jeśli o

mnie chodzi, możemy powiedzieć, że ma żółtaczkę lub coś innego. Ten twój doktor, Gülinger, na pewno wystawi mu zwolnienie.

Nauczycielowi wystarczyło jednak powiadomienie telefoniczne.

Matka mimo to poszła do doktora Gülingera po receptę na tabletki, które Roland dostał w szpitalu. Powinny łagodzić stany niepokoju i likwidować głód alkoholowy. Roland uznał, że mogą mu pomóc.

Elisabeth dzwoniła kilka razy, by zapytać, jak miewa się Roland. Któregoś popołudnia odwiedziła go bez uprzedzenia. Chłopak z początku był trochę zmieszany tą wizytą, ale później ucieszył się, że dziewczyna przyszła. Usiedli w jego pokoju i teraz mógł jej o wszystkim opowiedzieć. O tym, jak było w szpitalu, i o tym, że nie pije już od sześciu tygodni. Ona wysłuchała go, a potem zapytała:

- Kiedy wracasz do szkoły?
- Najchętniej w ogóle rzuciłbym szkołę.
- A co chcesz robić?
- Czegoś się nauczyć. Czegoś, co lubię.
- A co lubisz?
- Fotografowanie, na przykład. Mógłbym zostać fotoreporterem. To byłoby dopiero coś!
- Bujasz w obłokach - skwitowała dziewczyna.
- Nie! Naprawdę chcę się uczyć w tym kierunku. Odbyć praktykę i tak dalej.

Kiedy Elisabeth opowiadała mu nowinki o panu Bromme i o kolegach z klasy, Roland zauważył, jakie to wszystko zrobiło się dla niego odległe.

Po obejrzeniu pierwszej części filmu Roland oznajmił rodzicom, że nie chce wracać do szkoły.

- Kiedy zacznę gdzie indziej, łatwiej mi pójdzie.

Rodzice robili mniej trudności, niż się spodziewał. Ojciec już następnego dnia zadzwonił do urzędu pracy.

Pracował tam jego kolega, który miał znajomości.

Rodzice dowiedzieli się, że najlepiej będzie, jeśli Roland zdobędzie solidne wykształcenie fotograficzne. Ale dostanie się na staż graniczyło z cudem.

- Zobaczę, czy uda mi się coś załatwić - powiedział ojciec.

Po którymś z treningów piłki ręcznej przyszedł do domu wcześniej niż zwykle i potarł z zadowoleniem ręce.

- Możesz mi podziękować - oznajmił synowi. - Droste z naszej drużyny jest przecież właścicielem dużego sklepu i atelier fotograficznego. Masz się do niego zgłosić w poniedziałek. Może cię przyjmie. Chce cię oczywiście najpierw „obwąchać”.

Roland wyobraził sobie dosłownie to „obwąchiwanie” i nie mógł powstrzymać śmiechu.

W niedzielę, przy obiedzie, ojciec wygłosił długie przemówienie. O wszystkim tym, o czym Roland musi pamiętać, żeby zrobić dobre wrażenie na panu Droste. I tym podobne. Roland nagle poczuł, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Pójdę się jeszcze przejść - oświadczył.

Na Siesmeyerstrasse zatrzymał się obok niego samochód. Ktoś krzyknął. To był pan Thiele. Ucieszył się na widok Rolanda. Chciał wiedzieć, jak mu się teraz powodzi. Zniecierpliwieni kierowcy zaczęli trąbić.

- Mogę kawalek z panem podjechać - powiedział Roland i wsiadł do samochodu.

Nauczyciel wracał właśnie z dworca kolejowego - odwoził żonę na pociąg. Jechała na szkolenie. Thiele był trochę zestresowany, bo jego córeczka, Miriam, leżała z gorączką w łóżku, a on do wieczora musiał mieć gotową autorską korektę tekstu dla wydawnictwa.

- W wolnych chwilach zajmuję się pisaniem - wyjaśnił. - Ale na kawę musisz do mnie wstąpić.

Roland został na całe popołudnie. Przeczytał małej Miriam bajkę, a potem zaparzył kawę. „Thielego mógłbym właściwie częściej odwiedzać”, pomyślał. Nucił sobie pod nosem, szukając w szafce filizanek. Thiele poprawiał tekst, pracując jak szalony. Zawsze po ukończeniu dłuższego akapitu zaglądał do pokoju dziecinnego. Dawał całusa Miriam i przysłuchiwał się opowieściom

Rolanda o swoich planach. Nauczyciel uznał zamiar odbycia praktyki fotograficznej za doskonały.

- Nie możesz spocząć na laurach - przestrzegł chłopaka. - Dwa miesiące w trzeźwości to nic. Musisz całe życie wytrwać bez alkoholu.

- Tak, wiem.

- Może to nie jest wcale takie trudne, jeśli to sobie odpowiednio wytłumaczysz. Na przykład krótkowidz musi zakładać okulary, gdy siada za kierownicą. To jest całkowicie zrozumiałe. A dla ciebie tak samo oczywiste musi być to, że nie możesz więcej wziąć do ust ani kropli alkoholu. Ponieważ źle go znosisz. Żadnego steku podlanego alkoholem, żadnych czekoladek z likierem, a nawet krzty czerwonego wina w sosie!

Problem będą dla ciebie stanowić także inni ludzie. Co zrobisz, kiedy ktoś będzie świętował swój awans? Czy powiesz wtedy: „Nie, dziękuję, nie piję - jestem alkoholikiem”? Albo kiedy poznasz dziewczynę i wyjdziecie gdzieś razem wieczorem? Czy zamówisz lemoniadę, podczas gdy ona będzie pić szampana?

- Tak...

- Do tego potrzeba ogromnej wiary w siebie i silnej woli. Uważam, że byłoby dobrze, gdybyś miał kogoś, kto udzieliłby ci wsparcia.

- Ależ przecież pan mówił, że mogę do pana przychodzić.

- Ja nie jestem alkoholikiem, Rolandzie - powiedział, uśmiechając się, Thiele. - Nigdy tego nie doświadczyłem.

- Nic nie szkodzi - odparł Roland. - Z panem rozmawia mi się najlepiej.

Wieczorem stan Miriam pogorszył się. Dziewczynka miała rozgrzane czoło i płakała. Thiele zaczął się niepokoić nie na żarty.

- Poprawiony tekst muszę nadać do dwudziestej, pociągami do Monachium, inaczej ściągnę na siebie gniew wydawcy!

- Proszę się nie denerwować. Zawiozę przesyłkę na dworzec, a pan zostanie z Miriam.

Thiele spojrział na niego niepewnie.

- Nie robię już głupstw. Nie musi się pan martwić - zapewnił chłopak.

Na rogu Feuerbachstrasse i Bockenheimer Roland spojrział na zegarek. Była dokładnie godzina osiemnasta trzydzieści cztery. „Świetnie. Mam mnóstwo czasu, by dotrzeć na dworzec”, pomyślał i w tej samej chwili zauważył Buddiego, który do niego podszedł.

- Człowieku! - krzyknął dawny kolega. - Czy to na pewno ty?!
- Buddi! Skąd się tu wzięłeś?
- Mam kilka dni wolnego.
- Ciągle jeszcze jesteś w internacie?
- Tak. A ty?
- Zaczynam właśnie praktykę. Jako fotograf.
- Super! Chodź, skoczmy na jednego browara. Rany, nie widzieliśmy się całe wieki!
- Nie mogę. Muszę lecieć na dworzec. Mam coś do załatwienia.
- Załatwisz później. Tylko jedno piwo. Ja stawiam - kusił Buddi.
- Ja... Nie wiem, jak to powiedzieć... Ja trochę przystopowałem.
- Ja też już nie piję tyle, co kiedyś. To było straszne. Ale wiesz co? Mimo wszystko mile wspominam ten nasz wspólnie spędzony czas.
- Ja też. Serio.

Szli wzdłuż Bockenheimer, a Buddi opowiadał o internacie i o tym, że z nikim tak się świetnie nie rozumie jak z Rolandem.

W niewielkiej karczmie na Opernplatz było dość tłoczno. Jednak dopisało im szczęście. Właśnie zwolnił się stolik. Buddi zamówił dwa pilsnery, a Roland położył paczkę z wydrukiem na krześle obok.

Później Buddi kupił jeszcze w markecie butelkę wódki.

- Wiesz co? Chodźmy do mnie - zaproponował w pewnej chwili. - Moi rodzice są w St. Moritz. Mają nadzieję, że spadnie śnieg. Przed wyjazdem zawsze zamykają gorzałkę. Nie mam już łóżka piętrowego, ale piwo musi tam jeszcze być.

Po drodze ciągle się śmiali i wygłupiali. Roland naprawdę cieszył się, że znów spotkał Buddiego.

Kiedy przechodzili obok bloku Rolanda, chłopak zauważył w oknie twarz starej Marecke. Szturchnął Buddiego.

- Hej, popatrz. Tam, na starą. Jakaś taka dziwna, nie?

Buddi zaczął się wygłupiać i wskazał na siebie i na Rolanda.

Pokazał kobiecie butelkę. Marecke pokręciła przecząco głową. Buddi dalej się wygłupiał, w końcu potaknęła. Kolega świetnie się bawił.

- To idziemy do niej! Pamiętasz jeszcze, jak do niej dzwoniliśmy? Jak ona się nazywa?

- Marecke.

- Ach, tak. Marecke, Marecke! Czarownica!

- Stara dżdżownica!

- Chodź, idziemy! Może być niezła draka!

- Zmyślasz!

- Nie, taką okazję trzeba chwycić. Coś takiego nie zdarza się co dzień - przekonywał Buddi.

Zadzwonili do drzwi.

- Kiedyś myślałem, że to wiedźma - szepnął Roland.

- Kto wie, może nią jest! - zaśmiał się Buddi.

Starsza kobieta ostrożnie uchyliła drzwi i spojrzała zza łańcucha na chłopców.

- Dobry wieczór - powiedział uprzejmie Buddi. - Chcieliśmy panią odwiedzić. Jest nam akurat tak wesoło. To jest Roland Geiger. Mieszka w tym bloku, na drugim piętrze.

- Tak, wiem.

- Świątujemy nasze spotkanie. Nie widzieliśmy się prawie dwa lata. Zechce się pani do nas przyłączyć?

- Nie wiem...

- Przynieśliśmy także coś do picia - mówiąc to, wyciągnął do niej butelkę.

- Rolanda znam...

- To jest Buddi. Mój przyjaciel - przedstawił kolegę Roland. Przerwał i po chwili zaczął wyjaśniać:

- Widuję panią często w oknie.
- Tak, ja ciebie też. Wyrosłeś.

Buddi niecierpliwził się.

- Wchodzimy czy nie?

Starsza pani wciąż wyglądała na niezdecydowaną. Mimo to zdjęła łańcuch i wpuściła chłopców do mieszkania.

- O, rany! - wyrwało się Buddiemu, kiedy weszli do środka. Roland też czegoś takiego nigdy wcześniej nie widział. Tu musiały być dziesiątki tysięcy książek albo i więcej! Na korytarzu i w pokoju, na wszystkich ścianach - półki z książkami. Aż do sufitu! Na podłodze również piętrzyły się stopy tomów!

- Wybaczcie, trudno mi się poruszać - powiedziała pani Marcke i uprzątnęła kilka książek z kanapy.

- Czy wszystkie pani przeczytała? - zapytał Roland.

- Oczywiście, że tak. Niektóre nawet dwa razy - odparła ze śmiechem kobieta. - Nogi już nie te, ale wzrok jeszcze dobry. Moje oczy widzą więcej, niż sądzą niektórzy!

- A skąd ma pani tyle książek?

- Po mężu. Dla niego liczyły się w życiu tylko one. Od dawna już nie żyje, a jedyne, co mi po nim zostało, to właśnie książki... Właściwie nie mam nic, czym mogłabym was poczęstować. Rzadko ktoś mnie odwiedza.

Buddi postawił butelkę na stole.

- Przynieśliśmy coś ze sobą.
- Ach, tak...

Staruszka wstała i z trudem podeszła do kredensu. Wyjęła z niego dwa kieliszki.

- Dla pani też! - powiedział Buddi.

- Właściwie to ja już nie piję... Ale może mały kieliszek... Chyba nie zaszkodzi... po tylu latach abstynencji.

Wyjęła więc trzeci kieliszek i postawiła na stole.

- Wiecie, że pani Pahlke, dozorczyńni, przynosi mi zawsze zakupy. Ja nie dam rady już tak daleko zejść. Gdyby tak raz przyniosła jakiegoś pysznego koniaczku... ale nie, nie przyniesie... Może to i lepiej....



Buddi napełnił kieliszki i wznosił toast. Starsza pani też uniosła swój kieliszek.

- Naprawdę dobrze się stało, żeście mnie odwiedzili...

Upiła łyczek. Rolandowi zrobiło się nagle nieswojo. Nie chciał pić.

- Buddi, myślę, że musimy już iść - odezwał się.

- Ach, jaka szkoda! Właśnie teraz, kiedy zrobiło się tak miło! Zostańcie jeszcze chwilę - prosiła Marecke.

Roland siedział niespokojnie na kanapie i przysłuchiwał się temu, co opowiada im sąsiadka, mianowicie, że już od dawna jest sama, choć to akurat nie jest najgorsze.

- Koniec końców wszyscy jesteście samotni. Tylko ludzie nie chcą tego przyjąć do wiadomości... Oby tylko umysł był sprawny, to wszystko będzie dobrze. Ale kiedy z głową kiepsko, to przyjdą i zabiorą cię. Dokądś. Dokąd nie chcesz iść... No, dalej synku, bądź tak miły i nalej mi jeszcze.

Buddi spojrzał na Rolanda, który zauważył, że kolega też poczuł się niepewnie. Mimo to dołał jeszcze trochę staruszce. To był jej czwarty kieliszek. Wypiła go duszkiem i osunęła się bezwładnie w fotelu.

W pokoju zapanowała cisza.

Roland odniósł wrażenie, że stara Marecke patrzy na niego.

- Buddi - powiedział. - Chcę stąd iść!

Wstali, jednak staruszka nie poruszyła się.

Opuścili szybko mieszkanie. Butelka na stole była jeszcze do połowy pełna.

Roland wychyla się przez okno w niedokończonym budynku przy Grüneburgweg i Liebigstrasse. W ręce trzyma butelkę z resztką wódki na dnie. Książka Thielego! Stawia butelkę na gzymsie okiennym. Widzi brud na swej kurtce, butach, podłodze. Dwie butelki w kartonie są jeszcze nieotwarte. Nie wie, która jest gozdina. Zapomniał, że na lewym nadgarstku nosi zegarek.

*Zabrali starą Marecke. Zabierają gdzieś człowieka, Elisabeth, kiedy z jego głową jest kiepsko. Zabierają tam, dokąd nie chcesz.*

*Na krześle leży przesyłka. Żadnych czekoladek z likierem. Nigdy z tego nie wyjdę. Będzie źle, jeśli książka nie dotrze do Monachium na poniedziałek. Mnie też zabiorą. Powiem Thielemu, że już się dobrze czuję. MASZYNOPIŚ. Może ma kopię? Thiele. Nie robię już głupstw. Nie musi się pan martwić. A jednak zrobiłem głupstwo. Jeśli nie ma kopii... Wiem, że nigdy więcej nie będzie w stanie mi zaufać. To mu powiem. Idę do niego. NIE Z POWODU KSIĄŻKI - choć to też - lecz z mojego powodu. A jeśli mnie wyrzuci... To nie jest ważne. Wszystko naprawię. Tak jest. Obiecuję ci to. Zresztą, nic już więcej nie obiecuję. A jeśli mnie wyrzuci... Ale musi się dowiedzieć. Jeśli go nie ma w domu, zaczekam na schodach. Idę, teraz, natychmiast. Tak jest. Teraz. Zaraz. Natychmiast. Wszystko inne musi poczekać.*

Roland odwraca się i idzie.

Na rogu ulic Feuerbachstrasse i Bockenheimer jakaś kobieta trąca swojego męża:

- O, spójrz na tego! To niewiarygodne!
- Trzeba takich zagonić do roboty, do prawdziwej harówki! Odechciałoby im się wtedy pić!